ZIARNA I PLEWY.

ZIARNA I PLEWY.

PISMA WIERSZEM

oryginalne i tłómaczone

PRZEZ

Władysława Sabowskiego.

I.

(**Józia i Zosia. — Drobne pisma. — Ustępy z przekładów.**)

WARSZAWA.

W Drukarni JÓZEFA UNGRA
przy ulicy Krakowskie-Przedm. Nr. 391.

1860.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.— W Warszawie dnia 3 (15) października 1859 r.

Cenzor, *Antoni Funkensztein.*

+ Uwaga XIX w!

Do Czytelnika.

Przed panów łaskawych i panie
Przychodzę ze skromnym swym plonem,
Me żniwo już było młóconem,
Lecz wialni nie miałem na zwianie.

Widzicie, że w żniwie tem całem
Niespora zebrała się miarka,
A jeszcze być muszą te ziarka
Z plewami, bo z plew ich nie wiałem.

Lecz skromnym nie dziwcie się plonom,
Dziś gleba pieśniarska źle rodzi,
A na tę uwagę się zgodzi,
Kto roli pismaczéj agronom.

Więc plon mój nie pójdzie na marno,
Mam tego niepłonną nadzieję,
Krytyka zeń plewy wywieje,
I czyste zostanie się ziarno.

13 Lipca 1859.

JOZIA I ZOSIA.

POEZJA I PROZA.

I.

Wonczas na Pradze domek istniał stary,
Już się w głąb' ziemi jedna wparła ściana,
Już dach oddawna mech porastał szary,
Spłowiała farba deszczami spłukana,
Którą przed laty mularski artysta
Z talentem fronty domku pomalował,
A jednak sionka tak schludna, tak czysta,
Ściany tak białe od podłóg do pował,
Wszystko w tak ścisłym flamandzkim porządku
Co nam nie swojski, lecz ma swe zalety,
Że ktoby mieszkał w tym miłym zakątku,
Choć kto nie wiedział, mógł zgadnąć:—kobiety.

Cześć wam! flamandki nasze gospodarne,
Które sprzątaniem witacie brzask ranny,
Powiem wam w oczy, błękitne lub czarne,
Że za krzątanie to, wielbię was, panny!
Wy nas zbawiacie od okropnéj klęski,
Będąc porządku najtroskliwszym stróżem,
Gdyby nie wasza zabiegłość, ród męzki
Zgnuśniałby grubym przysypany kurzem.
Z téj pokolenie nasze poniewierki
Wybawia dzielnie słaby ród niewieści,
Z małą pomocą gałganka lub ścierki...
Lecz dość uwielbień,— wracam do powieści.

Przez sionkę tedy wchodzim do mieszkanka:
Pokój, dwa okna, gustownie przybrany,
Nad każdem oknem fałdzista firanka,
Niezłe rysunki ozdabiają ściany;
Oto co najprzód pod oko nam wpadło,
I przed kanapką stolik mahoniowy,
I nad nią, panien powiernik—zwierciadło,
Obok fortepian dość staréj budowy,

Z prawéj dwa krzesła w sąsiedztwie z komodą,
Z lewéj znów krzesła, między niemi biórko,
Przy niem kobiety,—starsza gwarzy z młodą:
Była to matka, rozmawiała z córką.—
„No Józiu, jakby ci się téż zdawało,
Jak ty osądzisz w swym rozumie słabym,
Czas ci też za mąż iść?“ — Józia nieśmiało,
Spuściwszy oczki, odrzekła:—„Mogłabym.“
Mama się w długie puściła uwagi,
Dowodząc córce, że to bardzo wiele
Do zamążpójścia potrzeba odwagi,
Że po weselu nie zawsze wesele.
Gdyby to słyszał jaki strategista,
Co w planach wszystkich mocarzy zwycięża,
I wié, że każda z panienek korzysta
Z lada okazji do dostania męża,
Przyznałby pannom odwagi tak wiele,
Że, gdyby władzę kto mu w ręce złożył,
On pragnąc poprzeć swe zdobywcze cele,
Z dziewic by armją w krynolinach stworzył.
Tak nakarmiwszy jéj uszy przestrogą,
Matka się córki nareszcie spytała:—

„Mogłabyś za mąż iść! no, a za kogo?“—
Józia spuściła oczki i milczała.
Mama czekała snać, bo nie nagliła,
Aż upieczonych raczków znikną plamy,
Lecz w tem wizyta Józię uwolniła
Od odpowiedzi na pytanie mamy.
Byłto pan Karol. Upraszam cię ładnie,
O Czytelniczko! pięknem oczkiem powiedź
Po twarzy Józi, może się podkradnie
Jéj tajemnica, może to... odpowiedź.

Niezwykły był ten pan Karol w istocie,
I w miniaturze niby przypominał
Małego Fausta w mazurskiéj kapocie.
Trochę był dziwak, trochę oryginał,
Bo nieraz źródła prawd odwiecznych śledził,
Z kwiatów poezji słodycze wysysał,
O poświęceniach dla ludzkości bredził,
I, co najgorsza, czasem wiersze pisał.
Ale z tém wszystkiem był to dobry chłopak,
I pożądanym był bardzo na zięcia,

Choć nieraz z werwą tłómaczył na opak
Przyjęte prawdy, utarte pojęcia.
Tylko nieszczęście, że był nadto młody,
I należało to jeszcze do mythów,
Czy będzie pięknym zarost jego brody?
Nie rudym kolor jego faworytów?
A choć się meszku pod nosem dochował,
Był dla podrostków dziwem w mieście całem,
Bo go pomadą żadną nie smarował,
Ani podczerniał palonym migdałem.
Zresztą rysopis i ducha i ciała
Chciejcie darować mi państwo łaskawi,
Rysopisistów niedokładność mała
Wielkiego nieraz kłopotu nabawi,
Bo wiedzą o tém nasi powieściarze,
Że gdy z nich który rysopis napisze,
A w nim szczególnych znaków nie wykaże,
Wnet tłum nachodzi autora zacisze,
I co się piórem mełło na papierze,
Prawie na grzbiecie autorskim się krupi.
Do rysopisów przyznając się szczerze,
Ten woła: „mój to konterfekt ów głupi!“

Ten: „to fotograf mój ów pański sknera!“
Ten: „to mój portret ów mdły oryginał,
Po co pan wzorki z żywych osób zbiera?
Skarci to szpada moja, lub kryminał!“
A bądźcie sobie państwo wedle woli
Pierwowzorami karykatur wszelkich!
Prawić wam kazań nie będę, bo soli
Attyckiéj brak mi do celów tak wielkich,
Nie mam dość siły do otwartéj wojny,
Nie dam rysunku. Pan Karol był z głową,
Był ukształcony, i... bardzo przystojny,—
To dość,—a że tak było, daję słowo.

A kiedyście mi państwo darowali,
Żem nie opisał go, darujcież jeszcze,
Że jak witali się, jak się kłaniali
W rozciągły opis króciutko nie streszczę,
I choćbyście mi nawet zarzucili,
Że nazbyt skocznie z faktu na fakt hasam,
Od razu przejdę do téj ważnéj chwili,
Gdy Karol z Józią — zostali sam na sam,

Bo mama wyszła przyrządzić herbatkę,
Bawienie gościa zostawiając Józi.
Józia patrzyła wciąż w zaczętą siatkę,
A wzrok Karola utonął w jéj buzi.

Byli jak widać do gwarnéj rozmowy
W usposobieniu niebardzo ochoczem,
Ale wnet rzeczy wzięły obrót nowy,
Zaczęli mówić, — zaraz powiem o czém,—
Lecz wprzód trza wiedzieć ich myśli osnowę,
Nim wobec wątku rozmowy ich staniem,
Karol nie wiedział jak zacząć rozmowę;
Czemu nie wiedział? przyszedł z pożegnaniem.
Józia nie chciała ni mówić ni pytać,
Bo się plątały w główce myśli nici,
Bo zamiast żegnać, wolałaby witać,
Bo zresztą jemu zacząć przyzwoiciéj.
Szkoda, że Karol był jeszcze tak młody,
Byłby nie marzył o inném zaczęciu,
Byłby stan dziennéj wczorajszéj pogody
Wyłożył biegle cudnemu dziewczęciu.

(Bo nie wspomniałem, lecz zgadnąć nietrudno,
To co w powieści zwyczajne nad wyraz,
Że Józia była przecudną, przecudną,
Gdy nie wierzycie,—dam słowo drugi raz).
Lecz on inaczéj zaczął: „Pani! pani!
Więc nas od jutra na tak długie chwile,
Nas cośmy prawie razem wychowani,
Nas ma oddzielić mil tyle, ziem tyle!...
Gdy o tém myślę, ból dziwny mną miota,
Jak to, z czém wzrosłem już jutro porzucić?
Jak się pocieszyć gdy przyjdzie tęsknota?“ —
Józia przerwała półgłosem:— „Powrócić.“—
Karol tę przerwę tak cichą, tak małą,
Jako lekarstwo i prośbę zrozumiał.
Tak mu to słówko myśli poplątało,
Że końców mowy powiązać nie umiał.
Z razu wybierał w nadętych zdań tłumie,
Lecz ganiąc wybór wpół słowa przerywał,
I wkrótce ucichł w tak nieméj zadumie,
Jakby się myślom Józi przysłuchywał...
Cudniejszą mu się zdawała: z jéj lica
Tak smutnéj zorzy świeciło zaranie,

Jak blask co leje płomienna gromnica,
Kiedy oświeca ostatnie posłanie...
Lecz i to przeszło, jak wszystko przechodzi;
Józia wspomniała na prawidło owe,
Że bawiąc gościa milczeć się niegodzi,
I tak potkniętą podniosła rozmowę:—
„Myślę że praca, zabawa, świat nowy,
Każą zapomnieć o ziemi ojczystéj,
O przyjaciołach zpod strzechy domowéj,
Od których zresztą będziesz pan miał listy.“—
„Listy, od kogóż jeśli nie od ludzi,
Którym interes zwykł dawać treść całą,
Których pisanie utrudza i nudzi,
O, przyznaj pani, to dla serca mało!“—
„A od przyjaciół? czyliż ich nie mamy?
Czyliż nikt panu przyjaźnią nie bliski?
I ja dopiszę się do listu mamy,
Jak pan poprosi o moje dopiski.“—
Och! prosić... gdybym myśl wysłowić umiał,
Tobym złotemi słowy o to prosił,“—
Odrzekł pan Karol cicho i przytłumiał
Oddech gwałtowny, co mu piersi wznosił.

A potém mówił: „Lecz ja czas niekrótki
Muszę zabawić za obcą granicą,
Tam będę tęsknił rozpędzając smutki
Twoich słów kilku, pani, obietnicą;
A tutaj wszystko, co świętem zostawię,
Zmieni się, kiedy będziem rozłączeni,
Ja nad Sekwaną, a pani w Warszawie.“
Józia szepnęła: —„O! nic się nie zmieni!“—
„Zbiegnie lat parę, a w ogólnéj zmianie
I pani serce odda komu może,
To na dopiski już czasu nie stanie,
Prawdaż?“—„Nie, bo już po moim wyborze.“
Szkoda, że Karol był zanadto młody,
Byłby odgadnął o kim była mowa
Z téj naiwności, z téj lica pogody,
Z jaką te Józia wyszeptała słowa,
Lecz on nie odgadł, bo serce kobiety
Było dlań ciemne i nieodgadnione,
Bo czas dopiero oczom wierszokletу
Miał owych tajni uchylić zasłonę,
Więc słówko Józi bolesnem się echem
Odbiło w jego duszy tak zranionéj,

I z ironicznym zapytał uśmiechem:
„Któż ten wybrany? kto ten ulubiony?
Jeśli powiedzieć mi to dobra wola,
Jak jego imie? jak jego nazwisko?
Znam go?“ — spojrzawszy na pana Karola,
Józia odrzekła: — „O! i bardzo blisko.“
Karol znajomych wszystkich przebiegł prawie,
Lecz polot myśli nie był dosyć chyży. —
„Może nie w kraju ten pan, nie w Warszawie,
Może w Paryżu przebywa?“ — „Nie, bliżéj!“ —
Szukając słowa zagadki zadanéj
Karol znów błądził to niżéj, to wyżéj,
Lecz nikt mu godny nie zdawał się znany:
„Czy on w Warszawie teraz jest?“ — „Nie, bli-
On lotną myślą przebiegł na przedmieście (żéj!“
Lecz plon był lichy i na niwie świéżéj,
Więc zadumany zapytał się wreszcie:
„To on na Pradze jest teraz?“ — „Nie, bliżéj!“
Karol chciał daléj brnąć w pytania swoje,
Lecz wejściem z tacą przerwała to mama;
Zgadnijcież piękne czytelniczki moje,
Czy wciąż odpowiedź byłaby taż sama?

On już przy matce nie badał, nie pytał,
Milczał, myślami błądząc w siódmem niebie,
Wciąż w odpowiedziach wyraz *bliżéj* czytał,
Aż się przybliżył do samego siebie.....

Jak się żegnali i jak się kłaniali
Nie powiem, — znowu prawa sztuki złamę,
Poczekam aż się pan Karol oddali,
Aż matka z córką pozostaną same,
Aż córka matce rzuci się w objęcia,
Przemówi do niéj nie słowem, lecz płaczem,
A matka główkę utuli dziewczęcia,
I płacz usłyszy, i nie spyta za czem?
Bo jéj się wiele tajni wytłómaczy
Tą rozrzewnioną boleścią dziewczęcą,
I nie pocieszać ją będzie, lecz raczéj
I jéj się saméj w oczach łzy zakręcą...

Tak bowiem było, — i obie płakały.
A kiedy Józia włóżeczku spoczęła,

To jéj się myśli dziwacznie plątały,
I długo, długo jeszcze nie zasnęła.
Gdy wreszcie boleść uległa snu mocy,
I matka równy oddech usłyszała,
Przyszła do łóżka z światłem o północy,
I w twarzy córki treść jéj snów czytała.
Rysy jéj były jak rysy anioła
Odgadywane w mgle chmurnéj, dalekiéj,
Ponurą bladość jéj lica i czoła
Zwiększały jeszcze dwie zwarte powieki,—
Nagle twarz bladą ożywił rumieniec,
Znikł wyraz bólu, co matkę zasmucił,
Uśmiech rząd ząbków ustroił w róż wieniec,
Śnił jéj się Karol, że z drogi powrócił.

II.

Karol uciekał od rozczuleń, marzeń,
Lecz czuł, że Józi wspomnienia nie zatrze,
Ani rój nowych nadsekwańskich wrażeń,
Ani bieg akcji na życia teatrze.
Pozostać nie mógł, choć chciałby w téj chwili,
Nie mógł dróg wiedzy, ukształcenia rzucić,
Lecz ufny, że go jéj przyjaźń nie zmyli,
Poprzysiągł sobie najprędzéj powrócić...
Teraz szedł,—niech to was nie gniewa panie,
Chociaż wygląda na odwiedzin listę, —
Szedł znów na jedno jeszcze pożegnanie,
Na pożegnanie równie uroczyste.

Dom dwupiętrowy, i ładny, i wielki
Na jednéj z ulic Warszawy się wznosi,
Dziedzictwem możnéj jest obywatelki,
Wdowy, i córki jéj jedynéj — Zosi.
Coś mój bohater postać więcéj ważna,
Niż myśleliście gdy was z nim poznałem,
Jego znajomą jest panna posażna,
I może także jego ideałem.
Nie wiem, doprawdy; lecz jeśli wierzycie,
Że się bez krzywdy dla sztuki pomieści
Dwa bóstwa w jednym wielbione zachwycie,
Dwa ideały w jednéj opowieści,
To bohatera mojego pochwalę,
Że dotąd równie uwielbiał gorąco,
Czcił w jednym serca młodego zapale
Naiwną Józię i Zosię marzącą.
Tylkoż się piękne lektorki nie śmiéjcie,
Nad tą serdeczną jego rozrzutnością,
Lepiéj ją młodą przyjaźnią nazwiéjcie,
Bo jeszcze nie czas nazwać to miłością.
Pan Karol jeszcze zanadto był młody,
Więc zgadnąć była nie tak łatwa sztuka,

Czy sobie kiedyś na weselne gody
Krociów posagu, czy serca poszuka.
Ciemne dlań były tajemnicze słowa,
Co serce szepcze przez szybsze pukanie,
Czy tego szeptu namiętna osnowa
Wyraża przyjaźń, czy znaczy kochanie?
I nie dziw, bo czyż i w metafizyce
Może być głębsza, ciemniejsza zawiłość,
Tak nieujęte coś i skrytolice,
O Czytelniczki łaskawe! — jak... miłość?

Piękne to dziewczę owa Zosia była:
Głowę jéj stroił suty zwój blond włosów,
Twarzyczka żywym rumieńcem iskrzyła,
A oczki lśniły barwami niebiosów;
Jéj wiotka kibić w gorset lekko spięta,
Swobodę, świeżość ruchów zachowała,
I Zosia jakoś nad zwykłe dziewczęta
Młodszą, pięknicjszą, lepszą się zdawała.
Była to panna starannie chowana,
Z młodu bon różnych miewała do zbytku,

Obcemi mowy mówiła od rana,
A swoję rzadko miewała w użytku.
Ale czas przyszedł i w Zosi powstało
Jakieś tłumione rodzinne uczucie,
Raz posłyszała polską piosnkę małą,
I pokochała się w ojczystéj nucie;
Raz polską xiążkę krótką przeczytała,
A xiążka była *Marją* czy *Konradem*,
Tyle w niéj ducha i myśli widziała,
Że wszystko obce znajdowała bladem.
Zjawił się wreszcie Karol wierszokleta,
On jéj utwory mistrzów słowa znosi,
I nad czytaniem ich jakoś kobieta
Egzaltowana zrobiła się z Zosi.

A w każdéj xiążce, którą przeczytała,
W osnowie wszystkich wielkich poematów
Jaśniała zawsze jakaś postać biała,
W wieńcu z wawrzynu, lub z pokoju kwiatów,
Z tchnieniem miłości lub słowem osłody,
Z pocałowaniem lub błogosławieństwem,

Była tém wszystkiem, czem chce być wiek
(młody,
Walką, nadzieją, zwycięztwem, męczeństwem.
Był to ideał w marzeniach wyśniony,
Płód niedościgły wieszczych snów lub szałów,
Lejący światło z za mglistéj osłony, —
I Zosia takich chciała ideałów.

Karol jéj myśli za błędnym ognikiem,
Za ideałem goniących z zapałem,
Był naturalnie pierwszym powiernikiem,
A wkrótce stał się sam jéj ideałem...
Jaki kamienny mąż starożytności
Mógłby do pojęć Zosi przypaść lepiéj,
Lecz te pojęcia miały dość giętkości,
Bo zakochani są zazwyczaj ślepi.
Zosia od pojęć nie odstępowała,
Więc trudna była jéj wybrańca rola,
Lecz tak je jakoś zgrabnie stosowała,
Że nie za trudna dla pana Karola.

Niezbyt ich dzielił towarzyski przedział,
Tak to już jakoś po myśli los zdarzył;
Lecz on o Zosi pojęciach nie wiedział,
Choć o niéj często, bardzo często marzył,
I jéj poufne rozkoszne zwierzenia,
Często mu klinem zachodziły w głowę;—
Brał je za młodéj głowy zaprzątnienia
Egzaltowane, przelotne, chwilowe,
Za sny, któremi jéj duszę olśniło
Szczytnych utworów namiętne czytanie:--
Między Karolem i Zosią tak było,
Gdy Karol do niéj szedł na pożegnanie.

Matka jéj była poważna kobieta,
A że pan Karol jéj dobroć wciąż głosił,
Więc go lubiła, choć to był poeta,
I poetyczne xiążki Zosi nosił,
Jednakże dotąd wcale nie myślała,
Komu do ślubu jéj Zosia dłoń poda;
Bo jéj się Zosia do tego zdawała,
Jak każdéj matce jéj córka,—za młoda.

Chodziła wprawdzie z Zosią na zabawy
Czy to wokalne, czy instrumentowe,
W teatrze brała lożę z strony prawéj,
Zwiedzała wianki, wystawy kwiatowe,
Bywała wszędzie gdzie chodzą panienki
Zosi majątkiem i wiekiem rówieśnie,
Ubrane w suto odęte sukienki,
Z figlarnych ocząt umiejące wcześnie
Rzucać spojrzeniem na mężczyzn jak wędką;
I niedość zręcznych by ujść przed zasadzką
Potęgą wzroku magnesować prędko
Mamie na zięcia, a sobie na... cacko.
(Bo jużcić każda matka was oświeci,
Że jeszcze wielkie dzieci z jéj córeczek,
A przecież mężów nie szukają dzieci,
Lecz tylko cacek,—o to nie ma sprzeczek).

W dzień, w który Karol szedł na pożegnanie,
I w któryśmy go na Pradze widzieli,
Zosia dziwaczne przybrała ubranie —
Uważcie tylko: była cała w bieli;

Suknia to była skromna, nie balowa,
Z broszki blask rzucał brylancik nieduży,
A wśród blond włosów przystrojona głowa
W kwiat dość dziwaczny, bo w kwiat białéj ró-
Że nie do twarzy blondynkom strój biały, (ży.
To Czytelniczka łatwo zauważy,—
A czyliż kiedy kobiety nie dbały,
Żeby im było w ich strojach do twarzy?
Zwłaszcza jak Zosia trochę zakochane,
Czytać i marzyć lubiące namiętnie...
Tak! nawet Zosia na swéj sukni zmianę
Niezwykła była patrzeć obojętnie,
I właśnie wzięła taki strój z zamiarem,
Bo tualeta, szczera powiernica,
Jéj poszepnęła, że to nowym czarem
Otoczyć może uroki jéj lica.
Ona wiedziała o tem pożegnaniu,
I w dziwnéj myśli ułożyła sobie
Wystąpić w takiem umyślnie ubraniu,
Które kontrastem byłoby żałobie.

Przyszedł pan Karol. Świat wyższy wizyty
Nie tak przyjmuje jak zwyczajna rzesza,
Tu cudzem przyjściem nikt z tropu nie zbity,
Tu gość wchodzący nikogo nie miesza;
A jeśli kiedy przybycie natręta
Jaką zaczętą rozmowę przerywa,
To ta rozmowa była tak zaczęta,
Że się wybornie bez końca obywa, —
I następuje grzeczne powitanie,
Z konwencjonalnych wyrazów splecione:
„Jak się pan miewa?“—„Jak się bawią panie?“
Pytają usta, a myśl biegnie w stronę,
Bynajmniéj nie dba jakie płyną słowa
Czy o dniach dżdżystych, czy o spieku słońca,
Bo pogawędka biegnie salonowa,
Jako nić z motka, bez przerwy, bez końca.

U matki Zosi inaczéj bywało:
Kiedy mówiono coś z panem Karolem,
Słowa się snuły wesoło i śmiało,
Ale utkanem w barwne kwiaty polem;

Świat, xiążka, człowiek, wszystko dobrem było;
Z przedmiotu w przedmiot myśl się wnet prze-
Tutaj z zapałem, tu z szyderstwa siłą, (nosi,
Zwłaszcza gdy Karol coś mówił do Zosi.
Ta, — trzebaż mówić? — lubiła rozmowę,
Co tak motylo po kwiatach bujała,
I czasem do niéj spostrzeżenia nowe
Śmiałością myśli dziwiące wtrącała.

Tym razem jednak jakiś dziwny smutek
Objął ich wszystkich z nieprzepartą siłą.
Czy pożegnanie zdziałało ten skutek?
Czyli go Zosi ubranie sprawiło?
Gdy Karol ujrzał jéj sukienkę białą,
I gdy zobaczył ów kwiat białéj róży,
Tak niepojętem mu się to zdawało,
Że się od pytań nie mógł wstrzymać dłużéj;
I po zwyczajnych słowach powitania
Z matką i z córką, wkrótce spytał Zosi:
Co to za powód białego ubrania?
I czemu w włosach białą różę nosi?

Być może, było to pytanie śmiałe,
Lecz Karol z Zosią nie od dziś się znali,
I swoje szepty ciche, poufałe,
Nieraz od takich pytań zaczynali. —
Wiecież co było powodem ubrania
Tak z pożegnalną sprzecznego żałobą?
Jeśli nie wiecie — oto treść szeptania,
Które następnie zamienili z sobą:
Zosia z początku wciąż utrzymywała,
Że to najprostszy urządził przypadek;
Że róża biała i jéj suknia biała
Żadnych na celu nie miały zagadek...
Lecz w tych wymówkach Karol znalazł słowa,
(Choć miłość własna może go łudziła),
Których niebardzo dostępna wymowa
Nieco inaczéj Zosię tłómaczyła.
Ztąd się rozmowa wreszcie wywiązała
Tak różnostronna, poważna i długa,
Żeby jéj powieść nie zmieściła cała,
A nawet jeszcze taka powieść druga.
W końcu uznali zgodnie suknię białą
Razem wesela i żałoby szatą,

Nie było róży, co nad różę białą
Byłaby w symbol, w znaczenie bogatą.
Było tam o tem, że święci anieli,
Czy radzi z cnoty, czy nad grzechem płaczą,
Zawsze przybrani w szaty śnieżnéj bieli
I ból i radość tą barwą tłómaczą.
Było i o tem, że gdy w zwoju wieńca
Wesołe barwy innych kwiatów schmurza
Ponurym wdziękiem róża bez rumieńca,
To ma swój powab właściwy ta róża,
Przy którym rzadko stanąć się odważy
Kwiat stuliściowéj róży zawstydzony,
Jako przy wdziękach cudnéj, białéj twarzy
Piękność wieśniaczki tłustéj i czerwonéj.
I wiele różnych słów tam się mieszało;
Karol z zapałem, z myślą rozognioną
Tłómaczył suknią, Zosia różę białą,
I kto wie o czem więcéj nie mówiono.
Bo też to dziwna jest rzecz, jak umieją
Serce młodzieńcze, z serduszkiem dziewiczem
Karmić się każdą niezbytą nadzieją,
Mówić o wszystkiem — szczebiocząc o niczem.

Już i wskazówka na wielkim zegarze
Przebiegła śpiesznie jedno, drugie koło,
Jeszcze ich myśli w nadziemskim obszarze
Bujały lekko, marząco, wesoło,
I jeszcze Karol z porównań uplata
Pełne odważnéj retoryki zdania,
Jakoby z białéj róży emblemata,
Albo symbole z białego ubrania.
Ale to przeszło jak wszystko przechodzi;
Zosia wspomniała na prawidło owe,
Że w sny zbyt długo bawić się nie godzi,
I tak na miejscu zwróciła rozmowę:
„Marzymy dzisiaj, a za dwa, trzy lata,
Gdy pan pobędziesz w świecie, w obcem kole,
Lato puch wiosny z kwiatów snu pozmiata,
I stracą wartość dla pana symbole.
Gdy za granicą pobawisz pan dłużéj,
Zapomnisz o tem com z panem mówiła,
O białéj sukni i o białéj róży,
Lub śmiać się będziesz z téj co je nosiła.“
Karol jéj odparł że to być nie może,
I że go takie przypuszczenie boli,

Że uzna zawsze Boga wielkim w tworze,
I piękno szczytnem w dobra aureoli,
I że nie wejdzie nigdy zapomnienie
W ten jego duszy najgłębszy zakątek,
Gdzie chowa osób najdroższych wspomnienie,
I gdzie ma skarbiec najdroższych pamiątek.
I jak u Józi znów mówił o zmianie,
Która się spełni jak on w świat wybieży,
Że go zapomną nim na miejscu stanie,
Lecz się nie zmienić przyrzekał najszczerzéj:
„O pani! każdy kto z okiem zamglonem
Łzą rozczulenia pożegna tę ziemię,
Chociaż pobieży za nauki plonem
Pomiędzy obcy obyczaj i plemię,
W dali nie ujdzie od ciężkiéj tęsknoty,
I jeśli co mu rozweseli lice,
To chyba pamięć na domowe cnoty,
Chatę rodzinną i polskie dziewice,
To chyba echo ukochanéj mowy,
Lub śpiéw ojczysty nagle posłyszany,
Lub list od swoich zpod strzechy domowéj,
Lub rodak w obcym kraju napotkany.“—

„Gdy tak, więc pragnąc pomnożyć te chwile,
O ile mogę i rzecz przyzwoita,
Może ja z czasem na list się wysilę,
I poślę panu, jak mama przeczyta.“
Nie dziwna, że się pan Karol aż zdumiał
Na propozycją tak nową i śmiałą,
Że podziękowań wynaleźć nie umiał,
Bo to co mówił bladem mu się zdało,
Że mówił do niéj, jako czas niekrótki
Myśli zabawić za obcą granicą,
Że będzie tęsknił rozpędzając smutki
Tylko jéj kilku słówek obietnicą;
Że wierzy w przyszłość; — co święte dla niego,
Gdy już zamiary spełni przedsięwzięte,
Kiedy podróży lata już ubiegą
Ufa, że znajdzie i czyste i święte.
Zosia słuchała całéj téj przemowy,
Bo Zosia była marząca i młoda.
Gdy Karol powstał, z ostatniemi słowy
Dłoń mu podała i szepnęła: „zgoda.“
On wziął kapelusz, złożył pożegnanie
W zwykłych wyrazach i zwykłym ukłonem,

I na ulicę wybiegł w dziwnym stanie
Z palącą głową i sercem wzburzonem.

Gdy Karol poszedł, Zosia w sukni białéj
Na fortepianie grała pieśni rzewne,
Palce jéj z dziwnem uczuciem biegały,
Dźwięk stan jéj duszy tłómaczył zapewne;
A potem pióro wyjęła z stolika
I jakieś spore z szuflady seksterna,
Cóż to być mogło? ot w formie dziennika
Historja Zosi codzienna, obszerna.

Jeślim przypomniał ten perjód niemiły
Swym Czytelniczkom, kiedy dziennik taki
Z całym młodzieńczym zapałem kreśliły,
Pstrząc w rzędy kropek, w wykrzykników szla-
A które potem, gdy męża dostały, (ki,
Myślały jak mu dogodzić jedynie,
I tylko z miasta rachunki pisały,
A dziennik życia spaliły w kominie,—
Niech to wybaczą bohaterce mojéj,
Wszak wszędzie ludzie podobni do ludzi,

To co im zwykle za młodu się roi,
Dopiero z wiekiem okropnie ich nudzi.
I Zosia późniéj, kiedy się z latami
Na panią domu dobrze usposobi,
Zajmie się szczerzéj pewno rachunkami,
A z kart dziennika autodafe zrobi.
Dzisiaj pisała, — można jéj wybaczyć,
Pisała w jakiem wyszła doń ubraniu,
I tłómaczyła co to miało znaczyć,
I że dodało wdzięku pożegnaniu.
Potem ze łzami zamgloną powieką,
Rozpoczynała część pisania drugą,
Czemu pan Karol jedzie tak daleko?
Czemu pan Karol jedzie na tak długo?
Wreszcie gdy sen już naturalną tamę
Temu pisaniu spóźnionemu kładzie,
Dumała Zosia: „jak uproszę mamę,
To w roku przyszłym ujrzym się w Karlsba-
Matka jéj dumać spokojnie dawała, (dzie."
Lecz już bezsenność poczęła ją trwożyć,
Z łóżka więc Zosię do spania wezwała,
Bo téż już było czas się spać położyć.

III.

Karol wyjechał zaraz, jak powiedział,
I już go pociąg pospieszny unosi,
Za każdą chwilą powiększając przedział
Oddalający od Józi i Zosi.
W wagonie dumał, a dumań osnowa
Na ten się szczegół zwróciła niechcący,
Że prawie jedne pozostawił słowa
Naiwnéj Józi i Zosi marzącéj,
I jednakowe obu obietnice
Miały rozpędzać w posępnéj godzinie
Jego do ziemi ojczystéj tęsknicę,
I do obydwóch rzekł: „twoja jedynie."

I zaczął serca swojego stan badać,
Chciał poznać powód dwojakiego zdania,
Lecz serce jakoś jasno odpowiadać
Nie chciało wcale na jego pytania.
Gdyby nie było odgadnąć zbyt trudno,
Jabym za serce tak odrzekł ochoczo:
Bo Józia była dla Karola cudną,
A Zosia była dla niego uroczą,
Bo przyjaźń z Józią wspólnem wychowaniem
Wsparta, dla niego nie mogła być głucha,
A Zosię kształcił wznioślejszem czytaniem,
To też ją cenił jak ojciec jéj ducha.

I za dni kilka dzielną siłą pary
Znalazł się nagle rzucony w kraj nowy,
Kraj innéj mowy, zwyczajów i wiary,
Niż wiara, mowa i zwyczaj domowy.
Nie mógł próżnować, bo pragnął powrócić
Jak najpospieszniéj pod rodzinną strzechę,
Chciał się więc zaraz do nauki rzucić,
By stać się zdolnym radę i pociechę

Ponieść w lat kilka na zagon ojczysty,
Leczyć ran starych społeczeństwa wrzody.
Ten cel przynajmniéj w jakiéjś dali mglistéj
Zdawał się widzieć jego umysł młody.

I słuchał mowy poważnych retorów,
I filozofji wielkich myślicieli,
I szukał w obcych piśmiennictwach wzorów,
Z których mybyśmy dobry przykład mieli.
Wertował pisma, księgi, bibljoteki
Nieraz dzień cały, czasem i noc całą,
Wciąż pragnąc zbliżyć ów cel tak daleki,
Cel, do którego dojść zamierzał śmiało.
I nie dość było jednéj dlań wszechnicy,
Nie dość jednego professorów grona:
Jeździł z stolicy do innéj stolicy,
Gdzie która jaką nauką wsławiona.

Bywało..... Niemka, fantastyczna postać,
Przerwała studjów epokę mozolną.

Pan Karol myślał: „gdybyż z nią pozostać!“
A głos wewnętrzny szeptał mu: „niewolno!“
I w ten dzień prawie list z poczty przysłano,
A w liście Józi niedługi dopisek,
Więc wspomniał Józię, i była wybraną
Nad rój rozlazłych germańskich burysek.

Bywało..... piękna córka Francji, trzpiotka,
Rzuca nań okiem, jakby mówiąc: „czekaj!
Bo gdzież cię miłość nad mą miłość spotka?“
A głos wewnętrzny szeptał mu: „uciekaj!“
I w ten dzień prawie miał z poczty list wonny,
A list ów Zosi marzenia zawierał,
Więc myśl przed którą korzył się bezbronny,
Wspomnieniem Zosi zwycięzko odpierał.

Było... raz tylko... kiedy powab włoszki
Namiętnéj, olśnił młodego mężczyznę,
Niosąc z miłością płyn zazdrości gorzki
I z uściskami sztylet lub truciznę,

I kiedy szczęsny z ułudnego losu,
Tonął w upojeń zdradliwym kielichu,
A tylko echo wewnętrznego głosu
Złowróżbne „uchodź!“ szeptało pocichu, —
Naraz dwa z poczty przyniesiono listy;
Te rozbratały go z ową miłością,
Dłuższy z tych listów był wzniosły i mglisty,
Krótszy uderzał prostotą, szczerością,—
I on czytając sam się pytał siebie:
Co nań wywarło ów wpływ zbawiający,
Szczerota czy też bujanie po niebie?
Naiwnéj Józi lub Zosi marzącéj?
Ale napróżno badał duszę własną,
I serce badał, ku któréj się skłania?
Serce i dusza odpowiadać jasno
Nie chciały jeszcze na jego pytania.

Było tych listów od obu dość wiele,
U Zosi marzeń rozbujałych dużo,
W dopiskach Józi szczerość i wesele,
Ta igra piórem, tamtéj myśli chmurzą

Jakieś złowróżbne przeczucia i trwogi,
Które sen natchnął, szept drzew wyszeleścił.
Karol je czytał wśród swéj długiéj drogi,
Jednemi bawił się, drugiemi pieścił;
I odpisywał, każdą zwiąc jedyną
Z ojczystéj ziemi swą korrespondentką;—
Tak błędnéj nazwy mógł pośpiech być winą,
Bo Karol zwykł był pisać bardzo prędko.

Ale jak wszystko, tak téż i wspomnienia
Czas — wielki szlifierz, szlifuje i gładzi,—
I, tak po roku może oddalenia,
Listy zaczęły się już zjawiać rzadziéj.
Karol tę sprawę oddał pod sąd matek,
Lecz to niebardzo poparło los sprawy,
Wciąż mniéj odbierał listów i notatek
Adresowanych z Pragi lub z Warszawy.
A listy rzadkie, które przychodziły
Leczyć mu serce zbolałe, tęskniące:
Od Józi — mniéj już szczerotą nęciły,
Od Zosi — mniéj już bywały marz ące.

Józia się jakoś poważną robiła,
I jednym tonem pisywała z matką,
A Zosia jeśli sobie pozwoliła
Na myśl wznioślejszą, to nadzwyczaj rzadko.

Cóż to za powód był do takiéj zmiany,
Tém boleśniejszéj im się wlekła dłużéj?
Miałże ideał czczony, uwielbiany,
Śnieżyste skrzydła pobrudzić w kałuży?
Karol już byłby aż zanadto biedny
Jeśliby musiał wytłómaczyć sobie,
Że taka zmiana zaszła co do jednéj,—
Ale dlaczegóż zmieniały się obie?
Czy, że już Zosi nikt daléj nie nosił
Utworów wzniosłych, które z nim czytała?
Czy, że już Józi nikt daléj nie głosił,
Że się z nim prawie razem wychowała?
Miałoż się spełnić takie przeniewierstwo?
I miałaż to być spójnia aż tak krucha,
Która wiązała owo ich braterstwo,
Z Józią przez życie, a z Zosią przez ducha?...

Takich przypuszczeń niewesołych roje
Mąciły młodą myśl pana Karola,
I innych, które spisywać się boję,
Więc je zgadnijcie, jeśli dobra wola...

O! Karol jeszcze zanadto był młody,
I pewno gdy mu przybędzie lat więcéj,
Nie zmąci czoła jesiennéj pogody
Myśl że się rozwiał jakiś sen dziecięcy.
Źle, że się młodość ludzka nie zaleca
Tą praktycznością, któréj nie potrzeba
Ni szybki z okna, ni kafelka z pieca,
Ni nawiązanych na nić gwiazdek z nieba,
Ni w zgrabne zwrotki rymowanych bredni;—
Która zajęcia wszystkie swoje dzieli
Między kłopoty o swój chleb powszedni
I utęsknienie do ciepłéj pościeli!

A taka silna jest gromadka młoda!
Szkoda, że zawsze niepotrzebnie marzy,
Że niepraktyczną jest, ach! wielka szkoda,
Bo praktyczniejszą byłaby jak starzy.

Ale nie przerwał pan Karol podróży,
Nie biegł do kraju pytać o powody;
Rozsądek kazał zatrzymać się dłużéj,
A miał już wtedy rozsądek nie młody.
Serce, jedynie serce młodem było,
Biło tak silnie ofiarą, miłością,
Jakby to wolno było życia siłą
Z tak marnotrawną szastać rozrzutnością.
I zwiedzał kraje; w świątyniach nauki
Kształcił swój umysł i wiedzę bogacił,
Zwiedzał muzea, a w przybytkach sztuki
Na chwilę smutki swe z pamięci tracił.
I dzień przepędzał w pracowniach artystów,
A wieczorami czytał xiążki różne,—
I przestał pytać się czy niema listów,
Bo to pytanie byłoby napróżne.

A gdy ukończył podróże trzyletnie,
I myślał wracać do rodzinnéj strony,
Pan Karol tak był wszechstronnie i świetnie,
Jako niewielu innych wykształcony.

Trzy lata wszakże przeciąg tak niedługi,
Mogłoby wielu iść w trop jego śladom,
Kto ma pieniądze zwłaszcza na usługi,
Kto swych zdolności lub talentu świadom.
Czemuż tak wielu od nas za granicę
Niby turystów biegnie po wrażenia,
I powróciwszy na polską ziemicę,
Mowę odmienia i zwyczaj odmienia?
Nosząc jak anglik przystrzyżone baki,
Kołnierzyk sztywny i frak przez dzień cały,
Lub wąs i bródkę, niby francuz jaki,
Lub trąbiąc kufle jak niemiec ospały.
Czemuż tak wielu..... I po co pytania?
A pocóż drogą, albo przez manowce,
Biegną, gdy mały pasterz je pogania
Jedna za drugą długim szlakiem owce?

Ubogacony w naukę nabytą,
Opatrzon w różne uczone patenta,
Karol osądził za rzecz przywoitą
Wrócić tam, gdzie go może nie pamięta

Już ani jedna droga sercu postać.
Zamiast tak spieszyć do rodzinnéj miedzy,
Nie byłoż lepiéj za granicą zostać,
I brać procenta z kapitału wiedzy?...

I zrobił Karol jak sobie powiedział,
I znów go pociąg pospieszny unosi,
Za każdą chwilą mniejszym czyniąc przedział
Oddalający od Józi i Zosi.
W wagonie dumał, a dumań osnowa
Ten stanowiła przedmiot wielkiéj wagi,
Która mu więcéj przyjaźni dochowa:
Zosia z Warszawy, czy téż Józia z Pragi?
„Zosia to pani! pisała tak cudnie,
Lecz zaprzestała, zapewne w téj chwili,
Gdy ranek życia w młodości południe
Zmienił się;—może starsi ją skłonili,
Gdy zsechł na proszek ów kwiat białéj róży,
A białą suknię dać uprać musiano,—
By się w dzieciństwa nie bawiła dłużéj,
Bo ją za pannę dorosłą uznano....

Józia nie była w swych listach tak wzniosła,
Bo jeszcze dzieckiem była Józia mała,
Dziś, po trzech latach, zapewne wyrosła,
I wybielała i wyprzystojniała;
I więcéj pisać nie miała ochoty,
Bo ją odwiodły od tego uwagi
Poważnéj matki, lub jakie zaloty
Długonosego kancelisty z Pragi"....
Dlaczegóż pana Karola marzenie,
Na tak szydercze zwątpienie zakrawa?...
Były powody, lecz ich nie wymienię,
Bo już konduktor zawołał: „Warszawa!"

IV.

Mieliście państwo rozdział pożegnania,
A kto go łaskaw bez przerwy przeczytał,
Niechże się teraz przeczytać nie wzbrania
Rozdziału: jak się pan Karol przywitał?
Przebrał się wkrótce po wyjściu z wagonu,
Bo chciał wystąpić, jako człowiek młody
Pięknéj postawy i dobrego tonu,
Ubrany według dosyć świeżéj mody.
I szedł gdzie dom się dwupiętrowy wznosi
Na pryncypalnéj ulicy w Warszawie,
Dziedzictwo wdowy i jéj córki Zosi,—
A co napotkał krótko wam przedstawię.

Najprzód zadzwonił do tego mieszkania,
W którem tak bywał wesoło witany,—
Drżący z obawy innego witania
I z pospiesznego chodu potem zlany;
Potem się dotknął klamki z pewną trwogą,
I czas szybszemi mierzył westchnieniami,
I nie usłyszał w mieszkaniu nikogo...
Byłoż zamknięte? czy stało pustkami?
Może już matka Zosi dom sprzedała,
Lub się przeniosła na inną ulicę?
Ot, drzwi zamknięte, niby to rzecz mała,
A taką ważną kryły tajemnicę!

W sercu mu wrzała niepokoju burza,
Zbiegł szybko na dół, wyszedł na podwórze,
I spotkał stroża, zwyczajnego stróża,
Jak to w Warszawie zwykli bywać stróże.
Milczący, póki piątki nie dostanie,
Mruczy pod nosem, i w głowę się skrobie,
Niechętnie bąka coś na zapytanie,
Tak jakby wolał pójść odpocząć sobie.

Karol mu usta otworzył złotówką,
To téż ze stróżem długo się nie biedził,
I w kwadrans może, tak po słówku słówko
Jan z ukłonami prawdę mu wycedził.

„Gdzież pani mieszka?“ — „Ten dom nie ma
„A więc należy do kogo innego? (pani.“—
To go sprzedała?“ — „O! nie chcieli taniéj
Jak dwakroć!“ — „Czyjże więc jest?“— „Aćl
hrabiego.“—
„Nie wiesz gdzie mieszka dawna gospodyni?“
„Wiem,“— rzekł stróż kwestją rozważywszy
ściśle.
„Gdzież więc?“ — „He! dość pan drogi se
przyczyni,
Bo na Powązkach od roku, jak myślę.“
„Jakto, umarła?“ — „A bogać tam panie,
Taka bogata, taka dobra pani,
Za życia miała iść tam na mieszkanie?
Cóż to Warszawy mało było dla niéj?“—
Ta wieść Karola myśli skłopotała
Zwątpień i obaw złowróżbnych tysiącem.

„Gdzież panna Zofja?“ — „He! męża dostała.“
„Dawnoż?“ — „Niedawno, ino przed miesią-
(cem.“

I stróż zostawił Karola w zadumie,
Pod tych dwóch ważnych wiadomości ciosem...
Stróż prosty człowiek, nie dziw, że nie umie
Zająć się czyjem nieszczęściem i losem;
Lecz wy, co oczkiem błądząc przez te wiersze,
O czytelniczki! powabne i miłe,
Przypominacie swe kochanie pierwsze,
Wy ocenicie tego ciosu siłę.

Karol napozór wszystko zniósł zwycięzko,
Lecz serce straszną cierpiało boleścią,—
Miał on to niby energją już męzką,
Lecz duszę jeszcze miał prawie niewieścią!
Zresztą czyż Zosia przysięgła mu miłość?...
Czy on ją kochał uczuciem aż takiem?...
Była to tylko przyjazna zażyłość;
Gdyby się gniewał, to byłby dziwakiem.

Więc ukrył boleść przed oczyma ludzi,
Cóż oni mogą dbać o boleść cudzą?
Źle robi, kto ich swą boleścią nudzi,
Ich interesa już i tak dość trudzą.
Karol się teraz postępowym stawał,
Więził ból w sobie nadzwyczaj praktycznie,
Łzom zrosić bladych policzków nie dawał,—
Było to z strony Karola prześlicznie.

I poszedł z troską w głębi duszy choréj,
Lecz prawie z lekkim uśmiechem na twarzy,
I dumał, wierząc w najmniejsze pozory,
Że mu u Józi inaczéj los zdarzy.
Józia, aniołek, cudowna i miła,
Przypominała młodych lat powaby.....
Nie mógł przypuścić iż się odmieniła
Biedny pan Karol. To źle,—był zbyt słaby.

Przypadek, mocarz wielce możnowładny,
Przypadek, dziwak, od którego łaski
Zależy wygrać w loterją los ładny,
Albo za powieść pozyskać oklaski, —

Otóż kapryśny przypadek urządził,
Że gdy do Józi szedł na przywitanie,
Pan Karol nieco do ogrodu zbłądził,
I niespodziane miał wkrótce spotkanie.
Tak to zazwyczaj zwykł plątać los dziwny
Doli człowieka dosyć wątłe nici!
Szedł przed Karolem jakiś pan dość sztywny,
Pod rękę z damą wysmukłéj kibici.
Czy bicia serca Karola odgadły,
Czy jak śmiertelnik rozpoznał po głosie,
Że w damie owéj znudzonéj i zbladłéj
Ujrzy nie kogo innego, lecz — Zosię?
Dawny ideał poznał znajomego,
I odpowiedział na ukłon ukłonem,
I rozpoczętą oziębłe przez niego
Rozmowę zimnym prowadzono tonem.
„Baron von Stange, mąż mój — rzekła dama,
I przedstawiła sztywną męża postać.—
Jakże pan z drogi?“—„Ten sam.“—„Jam taż sama;—
Rad pan z powrotu?“ — „Nie! wolałbym zostać“—

„Czemu?“ — „Bo tutaj wiele się zmieniło.“ —
„Ha, ha! — ze śmiechem rzekła baronowa, —
Minęły czasy, w których się nam śniło...“ —
„Szkoda! bo piękna była snów budowa.“ —
„Wiesz mężu — rzekła Zosia do barona, —
Przed trzema laty, może i przed dwoma
Byłam dziwaczna, śmieszna, rozmarzona,
Wrażeń namiętnych kapryśnie łakoma.
Czytałam książki poetyczne, wieszcze,
Pan mi je nosił, wszakże pan pamięta;
Dobre to było, i dziś powiem jeszcze,
Lecz źle, żem była wyłącznie zajęta
Temi wietrznemi snami, marzeniami,
Że mi się pisać dziennik chciało saméj; —
Przeczytam ci go jak będziemy sami,
Potém go razem płomieniom oddamy.“ —
Pan Karol patrzył na nią z podziwieniem,
Nie bez widocznéj w rysach twarzy zmiany,
Jakby się żegnał z uroczem wspomnieniem,
Ostatni urok tracił w ubóstwianéj. —
Wprawdzie to jeszcze nie był jasny dowód,
Żeby się Zosia aż tak odmieniła,

Może przy mężu miała jaki powód,
Żeby ze świętych wspomnień tak szydziła,
Może te przykre, sarkastyczne słowa,
Jaką głęboką mieściły rachubę,
I może niemi chciała baronowa
Pana Karola wystawić na próbę;—
On jednak na to uczynił krok dziwny:
Odbiegł, i nawet im się nie ukłonił,
A baron Stange, ów mąż Zosi sztywny
Szklannem spojrzenieniem za zbiegiem pogonił.

—— ——

V.

Nie wiem jak Karol miał jeszcze odwagę
Próbować szczęścia swojego na Pradze,
To wiem, że szybko udał się na Pragę,
Więc czytelnika tam także prowadzę,
Gdzie niegdyś istniał domek dosyć stary,
Którego jedna wparta w ziemię ściana,
Którego gonty mech porastał szary.
Tutaj na pozór niewielka odmiana; —
Ot żywszą nieco barwą powleczono
Spłukane deszczem stare okiennice,
I szyby nieco piękniejsze wprawiono
W okna, zkąd widok był wprost na ulicę;

Jak wprzód sień była tak czystą i schludną,
I flamandzkiemi jaśniała zalety,
Że zgadnąć było bynajmniej nietrudno,
Iż tam do dzisiaj mieszkały kobiety.

Karol otworzył do tego mieszkanka,
Gdzie był ów pokój gustownie przybrany,
Fortepian, biurko, zwierciadło, firanka,--
I... prawie żadnéj nie znalazł odmiany.
Wszedł sięprzywitać; jak w dniu pożegnania,
Który tak Józię smutkiem zdjął głębokim,
Przerwał znów wątek cichego szeptania...
Mówionoż o nim tak cicho, czy o kim?...

O! może pokój niebardzo się zmienił,
Lub nie odrazu zmiana uderzała,
Lub zmianę Karol niedobrze ocenił,
Lub jéj myśl trwożna przypuścić nie chciała,
Lecz kiedy spojrzy na swéj Józi lice.
Zimną powagę jéj rysów zobaczy,

Może odgadnie smutną tajemnicę,
Że tu inaczéj... inaczéj!... inaczéj!...

Obie kobiety oko nań zwróciły
Gdy wszedł w mieszkanka przedmiejskiego
I zawołały głosem różnéj siły:— (progi,
Matka: „Pan Karol!“—a córka: „Pan z drogi?“
Karol je zwykłym ukłonem przywitał,
I radby w ciągu kilku pytań śmiałych
Wszystkiego już się od obu dopytał,
Poznał historją zbiegłych trzech lat całych.

„A więc tu wszystko zastaję bez zmiany?“ —
„Nas prawie,“— na to odrzekła mu córka.—
„Lecz w losie dużo zmian, panie kochany,—
Dodała matka odchodząc od biurka; —
Ot. .“—„Ale może pan jest głodny z drogi?
Oto czem można naprędce posłużym:
Może pan woli leniwe pierogi,
Lub lepiéj służyć zrazikiem niedużym?“—

„Nie pani!... wieści, jak najwięcéj wieści!
Niegłodnym na te przysmaki, potrawy,
Lecz czy trwa dotąd, co myśl moję pieści?...“
„Może herbaty?... może czarnéj kawy!...“ —
„Czy, jak pozorem niezmienny ten domek,
Tak téż nic wewnątrz nie uderza zmianą?
Jak czas ten przebiegł?...“ — „No, może po-
ziomek
Z cukrem i mlekiem, lub słodką śmietaną?...“

Karol umilknął, spojrzał w Józi oczy,
Czemu tak miała dać mu jeść ochotę?
Szukał gdzie znikł ów jéj powab uroczy,
Co tak prześliczną czynił jéj szczerotę?
Ona zdziwienia nie mogła utaić
Że śpiżarnianych nie żądał frykasów,—
Miałżeby w drodze jeść się odzwyczaić?
Lub do przesytu odbywać popasów?...
Nagle w przyległéj ozwał się komnatce
Płacz dziecka, głuchem powtórzony echem,
I Józia, gościa zostawiając matce,
Wyszła z pokoju z największym pośpiechem.

Co to pospieszne wyjście znaczyć miało?
Czyliż się o to czytelnik zapyta?
Wszak ich trzy lata całe oddzielało,
A Józia była... cóż?... zwykła kobiéta,
Panna, co swoich lat prędko dorasta
I losów swoich nie chciałaby skrzywić, —
Ot... poszła za mąż przed rokiem, i basta.
Mógłżeby się kto zamążpójściu dziwić,
Mógłżeby się kto unieść jak nasz młody,
Jak nasz pan Karol, po latach rozstania,
I wybiedz na dwór by szukać ochłody,
Zapominając nawet pożegnania?
Ja się sam dziwię temu swéj powieści
Prozaicznemu bohaterzykowi,
On serjo ufał wierności niewieściéj,
Ach! on był dziwak! — wszak tak każdy po-
wie?...

On zresztą niewart był, by po rozstaniu
O nim przynajmniéj pamiętano trocha,
Bo on nie wiedział o swojem kochaniu,
Nie wiedział nawet którą z nich dwóch kocha;

Bo téż pan Karol był zanadto młody,
Więc się sam w sieci zaplątał niechcący,—
Że się zaplątał, niechże ma dowody
W naiwnej Józi i Zosi marzącéj.
Wszak ta dla świata rzecz nie będzie dziwną,
Ani téż umysł nazbyt kłopoczącą:
Józia być mogła praktycznie naiwną,
Zosia być mogła praktycznie marzącą,—
A słowo „czekać“ niepraktyczne słowo,
Bardzo niechętna dlań kobieca wola...
Mądry pan Karol trochę podrwił głową,
Och! mnie téż bardzo żal pana Karola.

VI.

Czemu pan Karol swoje ideały
Zprozaiczniałe przyjął z takim wstrętem?
Bo one z marzeń swych już wyzdrowiały,
A on był dotąd rekonwalescentem.
On jeszcze nie znał téj powszechnéj drogi,
Którą się wszystko na téj ziemi toczy,
Młodość przejść musi te zaklęte progi,
Poza któremi blask olśnia jéj oczy;
Ale dość zboczyć z kierunku na chwilę,
Przygaśnie łuna świecąca zbyt jasno,
I żar płomieni utraci na sile, —
Zejść jeszcze daléj — żar i łuna zgasną.

Wtedy spłowieją dziecinne gwarzenia,
Z których się niegdyś plotła marzeń tkanka,
W których głosząca młode uniesienia
Proza wabiła jak świeża sielanka, —
I ów pan Karol z sercem rozerwanem,
Zajętem dwóch aż skłonności początkiem,
Co tak wyraźnie niebył don Juanem.
Będzie się czułem wydawał jagniątkiem; —
I owa Zosia w skromnéj sukni białéj
I w jasnych włosach z krzewem białéj róży,
Wyda się cudną, — lecz złości by brały,
Gdyby swym czarem chciała nudzić dłużéj.
I owa wreszcie Józia z Pragi mała,
Co tak powabnie o Karolu śniła,
Ze swemi snami jużby spowszedniała,
Gdyby się ze snów swych nie przebudziła; —
Bo tak się wszystko na tym świecie zmienia:
Tak spada w błoto, kto mknął w lot parnaski,
Tak się na prozę tłumaczą marzenia,
I tak się dowcip zmienia w koncept płaski.

Przyszedł czas... zbiegło lat... ile?... niewiele,
I nasz pan Karol bardzo się odmienił,
I w życiu zaczął inne widzieć cele:
Osiadł na wiosce, dobrze się ożenił,
Niemiłosierna prawica Saturna
Boże poszycie obdarła mu z głowy.
Twarz z uśmiechniętéj zrobiła się chmurna,
Wzrok z wesołego zrobił się surowy.
Anibyś poznał z uniwersytetów
Wymądrzonego ucznia; w nowéj szkole
Stał się praktycznym... Tak się to z poetów
W praktycznych ludzi zmieniają Karole.

A kiedy bywał jarmark w Jędrzejowie,
Lub w Łęcznéj, albo w Łowiczu, to ażem
Przeląkł się, słowo daję wam panowie,
Widząc Karola koniarzem, karciarzem...
Niekiedy wcale o dom i o jutro
Pan obywatel możny się nie troska,
Wie, że gdy przegra w karty, choćby futro,
To mu pańszczyzną odrobi je wioska.

I tak bywało, — a orgje szalone
Grosz wybierały, i znaczone asy, —
Och! kiedy wspomnę, to aż wstydem płonę,
Na czasy Józi i na Zosi czasy.

Cóż Józia, Zosia? — Bywało, pan Karol,
Kiedy go ważne przyzywały sprawy,
A grubo sakwy nie szarpnął zły parol,
Zwykł był na czerwiec zjeżdżać do Warszawy.
Tu... któżby mógł mu przypomnieć wiek młody?
Czasy szczęśliwe, zacne, choć młokosie,
Czasy bezchmurnéj na czole pogody,
Naiwną Józię i marzącą Zosię?

Jednakże raz się zdarzyło... raz tylko...
Dorożkarskiemi umęczony kursy,
Zaszedł pan Karol swobodniejszą chwilką
Na bal ogromny do wielkiéj resursy,
I ujrzał jakiś widok sielankowy,
Jakowąś damę w sutéj sukni białéj,

Co białą różę wplotła w warkocz płowy, —
To Zosia — lub go oczy okłamały.
Zbliżył się, tańczył polkę i kadryla,
Mało o dawnéj mówił znajomości,
Ale ta chwila, dobrowróżbna chwila,
Stała się wstępem nowéj zażyłości.
I z baronową rozpoczął pomału
Mówić językiem aż zabardzo bratnim,
I od pierwszego znów zaczął rozdziału,
Ale tym razem skończył na ostatnim.

Czy baron Stange do herbowéj tarczy
Dodał dwa rogi, o tem nie wiem jeszcze...
Cóż było z Józią?... o jednéj wystarczy,
Karol nie spotkał jéj, więc jéj nie mieszczę,
Dość że się z czasem owa Józia mała
Rozstała z swoją panieńską naturą,
I tak kurz z mebli uparcie ścierała,
Że aż niekiedy razem z politurą.
Zosi nietrudną była życia rola,
Rozrywkę z każdą odmieniała dobą,

Gdy wieś zabrała jej pana Karola,
Był inny... lepszy:—wspomnień nie miał z so-
Karol żył na wsi z żoną, lub na pole (bą.
Ciągnął na smyczy buldogi i charty,
A gdy w sąsiadów znajdował się kole,
To grube stawki wystawiał na karty.

Tak to się wszystko na tym świecie zmienia:
Tak spada w błoto, kto mknął w lot parnaski,
Tak się na prozę tłómaczą marzenia,
Tak wyglądają spłowiałe obrazki...
Och! czytelnicy, gdy kto z was nie wierzy
W treść méj powieści, albo jéj się dziwi,
Tego się spytam: moi bohaterzy,
Gdy spowszednieli, byliż nieszczęśliwi?
Na to pytanie sam odpowiedź zacznę,
Nie myśląc waszéj czekać odpowiedzi,
Będzie to zdanie nowe, choć dziwaczne:
Ludzie podobni zwykle do niedźwiedzi.
Dopóki umysł dość silny i młody
Człowiek z ochotą dźwiga życia krzyże,

Z zapałem spija jego czary, miody,
Ale niedługo téj ducha pogody,
Zima krew ziębi, jak ścina w lód wody,
I zniedźwiedziały, drzémiąc łapę liże.
W snach drzémki śni już nie młode zapały,
Bo rozbratany z tém marzeniem zdradném,
Marzy o jakiéj wygódeczce małéj,
Marzy, by kości dobrą pościel miały,
I w legowisku, w zimie życia całéj,
Jest dość szczęśliwy, lecz szczęściem bezwładném.

Kto na pytanie me nie tak odpowie,
Za zniedźwiedziałych da słowo obrończe,
Temu niech sprzyja długoletnie zdrowie,
Ja swą powiastkę wielorymną kończę,
Bo już i północ wskazuje zegarek,
I zgasł ostatniéj łojówki ogarek.

Czerwiec 1839.

[illegible]

Ja też pójdę [illegible]
Za wdzięczność [illegible] słowo obronę,
[illegible] zdrowie,
[illegible]
Bo już i [illegible]
[illegible] ogarek.

Czerwiec 18[illegible]

DROBNE PISMA.

Wstęp.

Mnie nie utworzył Pan Bóg malarzem,
Co w domu radość, a przed ołtarzem
Modlitwę swą niesie na płótno;
Jam prostéj prawdy jest apostołem,
Więc słowem rzewnem albo wesołem,
Pieśń śpiewam hulaczą lub smutną.
Jam z owych grajków, co skoczną nutę
Snują tak śmiało, jak nitki snute
Z wieśniaczéj kądzieli, aż utną, —

I po przestanku, po małéj chwili,
Ciż sami grajcy, co lud bawili,
Melodją zawodzą już rzewną,
Nuta po nucie, słowo po słowie,
Jak myśl po myśli krąży po głowie,
To śmiełéj, to znowu niepewno.
Aż gdy pieśń wszystkie dźwięki wysypie,
Na ich żałosnéj pogrzebnéj stypie,
Ni to już radośnie, ni gniewno,
Siądą spokojnie z szklenicą miodu,
Gwarząc o prozie swego zawodu,
A zimni, a cisi, jak drewno.

Luty 1857.

Bierz Michale co Bóg daje.

Przysłowie.

Stary Michał— człowiek szczery,
Urodzony z tego stanu,
Co to stworzon do siekiery,
I do pługa i do łanu,
Zwykł był zawsze mówić sobie:
„Nie trza dbać na ludu zgraję,
Ja najlepiéj pewno robię
Biorąc to, co Bóg mi daje.

„Kiedym jeszcze będąc żakiem
W parafialnéj wiejskiéj szkole,
Nad czytaniem (trudnem takiem!)
Ślęczał z książką, a w mozole,
Gdy mnie laureatus bacca
Drze za uszy, albo łaje,
Mojem godłem, jako żaka,
Było: bierz, co Pan Bóg daje.

„Brałem tedy, a oświata
Co z rózgami szła do głowy,
Posłużyła w późne lata,
Gdym ze szkoły wszedł w świat nowy,
Między ludzi różnych chęci,
Stanowiących wiejską zgraję,
Bom miał zawsze na pamięci:
Bierz Michale, co Bóg daje.

„Kiedy na wsi chłopak młody
Obyczajny a potulny,
Zjawi się, to wnet mu gody
Rają z walnéj rady wspólnéj

Wszystkie kumy ucieszone,
Wróżąc w żonie, nieba! raje!
Jam się zgodził, wziąłem żonę,—
Bierz Michale, co Bóg daje!

„Ludzie wprawdzie mi gadali,
Że uboga to dziewucha,
Jam szedł daléj jak najstaléj,
Któż tam zawsze ludzi słucha?
I prawiłem zwykle na to:
Krawiec kraje, jako staje,
Toć nie każdéj być bogatą,—
Bierz Michale, co Bóg daje.

„Nie szło dobrze, bo choroba
Nawiedziła ciężka, sroga,
Bóg mnie dotknął jako Joba,
Niech się dzieje wola Boga.
Lecz minęła trudna dola,
Kilka jasnych chwil nastaje;
Panu dać je się podoba,
Bierz Michale, gdy On daje.

„Tak wciąż zgodnie z wolą Bożą
Chowaliśmy czworo dziatek,
Chwała Panu, niech się mnożą!
Statek zrodził nam dostatek;
A gdy czasem, jak wypadło
Żona zburczy mnie i złaje,
Błogosławię takie stadło,
Bom zwykł brać co Pan Bóg daje.

„Czasem i to jéj się zdarzy,
Że prócz burzy i łajania
„Nawymyśla mi po twarzy,“
Gdzie mi tam tą chęć oddania,
Co horyzont małżeństw chmurzy,
Kazi dobre obyczaje!
Kiedy przyszła koléj burzy,
Dobra burza! — Bóg ją daje.

„Tak spokojnie, a po Bogu,
Przeszła koléj życia chyża;
Dziś w wieczności stojąc progu,
Wiem że śmierć się do mnie zbliża,

Bo się kopę lat przewlekło,
I w pożyciu miało raje,
Ale miało téż i piekło,
Biorąc wszystko, co Bóg daje."

Tak to prawił Michał stary,
Kiedy żona przy gawędzie,
Albo liczy swe talary,
Albo przy przęślicy przędzie,
Lub ma gościa na przyjęcie,
Lub koszule wnukom kraje,
Ucząc je na elemencie:
„Bierzcie zawsze co Bóg daje."

Różnie ludzie, jak świat stary,
Korzystają z Bożéj woli,
Ten odrzuca jego dary,
Trwoni ów, aż serce boli:
Głupi jeden, drugi dumny,
Tak przynajmniéj się to zdaje,
Ale za to któryż trumny
Nie przyjmuje, gdy Bóg daje?

Poszła najprzód Michałowa
W zimne strasznych grobów wrota;
Michał płacze gdy ją chowa:
„Toć kobieta była złota!"
Lecz po chwili płaczu powié:
„Niech się wola Boża staje,
Bóg mi zesłał żywot wdowi,
Bierz Michale, co Bóg daje."

Nawet potem gdy mu zbliska
Śmierć spojrzała oko w oko,
Gdy czuł, że nań przyszła kréska,
Nie pomyślił nad odwłoką,
Ale oczy wzniósł do nieba
Idąc w ciemne śmierci kraje,
I rzekł: „pójdę kiedy trzeba, —
Bierz Michale, co Bóg daje."

Na mogile, na darniowéj,
Stanął prosty krzyż drewniany,
Ale mocny, bo dębowy
I olejno malowany.

Wiedząc dobrze pleban wioski,
Że w to Michał wierzył stale,
Dał na krzyżu wyryć zgłoski:
„Co Bóg daje, bierz Michale!“

Ludzie z słów tych korzystali,
Boć to zawsze, jak świat światem,
Między niemi są i mali,
Są i mądrzy; a że zatem
Dość na słowie mądrej głowie,
Z wioski więc w odległe kraje
Rozszerzyło się przysłowie:
„Bierz Michale, co Bóg daje.“

3 Lutego 1857.

Migdałki niebieskie.

Fragment.

Na twarzyczce, na białéj,
Tchnącéj życiem, a gładkiéj,
Zmiędzy rzęs dwóch wyjrzały
Dwa cudowne bławatki,
By wdzięk lica i czoła
Nową zdobić ponętą,
Piękną jak myśl anioła,
I jak jego płacz świętą.
I nadeszła cud-wiosna,
A z tych cząt bławatków,
Wśród uśmiechu do kwiatków
Spadła łezka radosna.

I na niebie, na tęczy
Zawisnęła; ot... rosa,
A do ziemi się wdzięczy,
I ozdabia niebiosa,
Niby perła bogata,
Gdy się w konsze obudzi,
Owo cacko dla świata,
Ów strój cudny dla ludzi.
Czemu Bóg w tę łzę małą
Wlał te wdzięki czarowne?
Och! bo ją wypłakało
Takie oczko cudowne.

* * *

Pożar żądzy mnie męczy,
Trawi serce spragnione,
By w mych marzeń koronę
Włożyć łezkę tę z tęczy;
A z tą łezką z tą małą,
Znaleźć szczęścia zadatek,

Och! bo ją wypłakało
Oczko modre, bławatek;
A ja zrosłem się całkiem
I z tem oczkiem i z płaczem,
I wciąż tęsknię, — a za czem?
Za niebieskim migdałkiem.

Niech więc inni, że ślepi,
W innych światach zabłądzą,
Jam tam myślą i żądzą,
Gdzie mi miléj i lepiéj,
Gdzie w aniołach mam świadki
Każdéj myśli méj wzniosłéj,
I gdzie dla mnie wyrosły
Z rzęs dwa modre bławatki.
Co mi z mitry książęcéj?
Na co berło królewskie?
Nie potrzeba mi więcéj
Nad migdałki niebieskie.

Niech mnie wzniesie myśl święta
W nieba dla mnie łaskawsze,

Lecz niech na mnie oczęta
Patrzą modre, o! zawsze...
O nich, dla nich i z niemi
Marzyć będę, o! wiecznie;
Wzlecę w niebo z téj ziemi,
Ale z niemi koniecznie.
W nich mam słowo zagadki,
Co mnie szarpie w kawałki...
Ach! dwa modre bławatki!
Ach! niebieskie migdałki!...

28 Marca 1857.

Gwiazdki.

Fragment.

DZIECI.

Gwiazdki, co po niebie drżycie!
Liczna was gromadka,
Księżyc pewnie wasza matka,
Bo tak pięknie przy nim lśnicie
Tak cudownie się bawicie!

Czemuż w cieniach się chowacie,
Gdy na wschodzie w złotéj szacie
Słońce świetnie błyśnie?

Czy to gwiazdki ojciec wasz?
Czemuż on was nie uściśnie,
Czemuż ojca się boicie,
Czemu smutne wasze życie,
. Czemu blada twarz?

Mówią, że z was każda piękną,
Pocóż świecić w nocy?
Czyż lśnić w dzień nie w waszéj mocy?
W noc przed wami nie uklękną,
Nie uwielbią was.

A gdy ranne błysną zorze
Każda słonkiem stać się może,
Zalśnić każda krasą świeżą...
Gwiazdki! dzień już, wstawać czas!
W dzień godziny prędko bieżą,
Wstańcie, pójdźcie! niech okraszą
Wasze wdzięki ziemię naszą,
Wy zachwyćcie nas!

Gwiazdki, zawszeż wam potrzeba
Drżeć na tle ciemnego nieba?
Nigdyż w dzień nam nie zalśnicie
Na błękitów tle?
Gwiazdki, smutne wasze życie,
Nieszczęsneście, nie!

Nam na łąkach rosną kwiatki,
Nas kochają ojce, matki,
Cóż jest dla was? same zawsze
Macie chyba łzy...
O wypłaczcież dnie łaskawsze
Nieszczęśliwe wy!

1856.

Owacje.

Ot!... patrzaj... salon... miękka kozeta,
Na téj kozecie znany poeta
Zasiadł i słucha, jak wkoło
Mdłe salonowe panny i damy,
Panegirykom nie kładąc tamy,
Laurami wieńczą mu czoło.

Tłum się wieszczowi swemu przymila,
Bo za godzinę ma nadejść chwila,
Że od uwielbień nie szczersze
Podziękowania uwije w sploty
Rymów, pospiesznéj nieco roboty,
Lecz zawsze — będą to wiersze.

O ślepi, ślepi, czyliż nie wiecie
Czemu świat dzisiaj swemu poecie
Przy sutych stołach hołd składa?
To tylko chętka by wśród złych czasów,
Z win wieloletnich, z drogich frykasów,
Mogła się złożyć biesiada.

Opinja mówi, że narów brzydki
Bachanaljami rozkrzewiać zbytki,
My drżemy przed nią trwożliwi,
Więc trza, ażeby, gdy się upijem,
Biesiada była uczczeniem czyjem,—
Cel środki usprawiedliwi.

Więc jedzą, piją, a przy wieczerzy
Poeta prawi wiersz jak należy,
Na temat śmieszny się śmieje,
Na temat smutny żałośnie kwili...
A z tych co wieszcza godnie uczcili
Każdy téż pałki doleje...

Potem pod koniec, cały tłum gości
Krzyknie raz jeszcze, po znajomości,
Zdrowie dzielnego lirnika!
Spełnią blondwłosi i czarnowłosi,
I na strzemienne każdy poprosi
O wierszyk do pamiętnika.

I otrzymają... a za powrotem
Żonom przy kawie powiedzą potem,
Jakie szczęśliwe to trafy:
Został grosz w kiesce, któryby marnie
Za twór poety wzięły księgarnie,
I jego są autografy!

31 Sierpnia 1858.

Wianek.

Fragment.

DZIEWCZYNA.

Wiązka kwiatów niezbyt duża,
Biała lilja i tymianek
I jak zorza kraśna róża
Złożyły się na mój wianek.

Rzucam dłonią trwożną, drżącą,
Łzami żegnam go!
Może fale go roztrącą,
Nim w dłoń trafi kochającą,
I pójdzie na dno!

Lepiéj na dno niech popłynie
Róża, lilja i tymianek,
Niżby los biednéj dziewczynie
Miał zawiązać zły kochanek.

Wianek z lilji, róż, tymianka,
Puszczam mówiąc doń:
„Płyń wianeczku, płyń do Janka;—
Od wietrznika i od panka
Stroń wianeczku, stroń!“ –

* * *

Wianek wzięła srebrna Wisła
I popłynął szarą tonią,—
Z rzęs dziewczęcia łza zabłysła,
Oczka ciemne wianek gonią.—

Próżno gonią, bo już ginie,
Już go pokrył mrok,
Nie wywróżył nic dziewczynie,
Nie wywróży aż rok minie,
Jeszcze jeden rok!...

29 Marca 1859.

Spekulacja dziadowska.

Był sobie kościół, a pod kościołem
W rząd stali dziady,
Opodal baby zebrane kołem,
A każdy wchodził z odkrytem czołem,
Jak dla parady.

Och tak! parada!... A Pan Bóg widzi
Zła dola dziada!
Człek się za groszem nasiedzi, zbiedzi,
Ten da, ten nie da, tamten wyszydzi,
Ot i parada!

Kiedy Bóg człeku nieco poszczęści,
Da dobre ludzie,
To grosze lecą w obydwie pięście,
Ale bez grosza stoi dziad częściej,
Póki nie pójdzie.

Dawniéj to było! dola dziadowska
Byłać to dola!
O grosz się, o chleb, człowiek nie stroska,
Jeść, pić ci dadzą, niech tylko wioska,
Ruszaj przez pola!

Dziad cuda robił!... pewnego razu
Grzmi wieść o cudzie:
Dziad to przemówił w głos do obrazu!
Obraz nie odrzekł ani wyrazu!
Dziwią się ludzie...

Dawniéj to księżna dziada kochała,
Czy tam królowa,
Jest o tem w księgach historja cała!
Szewcowa dziada odkochać chciała,
Adryjanowa.

Bogata pani nigdy do stoła
Nie szła bez dziada,
Dziad ją w pas ujął, usty tknął czoła,
A ona była taka wesoła,
Dziadowi rada!

A dziś niesmaczny ten chleb z włóczęgi,
Z torby i kija!
Policyjańci wzrok mają tęgi,
Złapią — to koza, a w kozie cięgi,
I Kalwaryja!

Kto ich tam uczył takiéj chytrości?
Każdy sposobny,
Kęsa swobody człeku zazdrości,
Dziady chce mieścić w Dobroczynności,
Pchać w dom wyrobny!

Tak gwarzą dziady; dolę nieletką,
Ten lży, ten łaje,
Bo dziad dziś został pętelką hetką,
Ten chodzi z sakwą, ten z portmonetką,
Nikt nic nie daje!

Dziad Marcin z Piotrem radzą się społem
Nad swoją dolą.
Nagle rzekł Marcin słowem wesołem:
„Co tu stać mamy pod niebem gołem,
Aż kości bolą?

„Ot, jutro jarmark w sąsiedniem mieście,
Boże nas prowadź,
Ja wezmę wódki, wy wódki weźcie,
Wszakże do handlu zdolni jesteście,
Będziem handlować!“

„Zgoda,—Piotr rzecze,— na to się godzę!
Handel niech żyje!
Ale jak wódkę wypijem w drodze,
I pośniem w lesie pijani srodze,
Cóż się odkryje?

„Na wódkę pójdą zebrane grosze,
Jarmark nas minie,—
Ot, lepiéj chleba nakupmy w kosze,
W jarmark sprzedawać będziem potrosze,
Z wódką człek zginie!“

„Ej Piotrze! Piotrze! — Marcin odpowie, —
Nie ucz Marcina!
Nie ucz Marcina, wszak znasz przysłowie...
Wiedz, że do handlu, gdy rozum w głowie,
Wódka jedyna!

„Mieszczanie z miasta, kmiecie z chałupy,
Górale z kosą,
Kupią prosiaka, czy ćwiartkę krupy,
Zaraz pić będą sute litkupy,
Zysk nam przyniosą.

„Przysięgniem tedy na szczęście duszy,
Wszak człek nie głupi,
Że swojéj wódki żaden nie ruszy,
A gdy się nazbyt gardło osuszy,
To sobie kupi.

„A tak drugiemu korzyść przyniesie,
Skoro zapłaci,
I grosza szczędząc nie uśnie w lesie,
A na jarmarku dopełni w kiesie,
Co w drodze straci.“

„Zgoda! więc idziem?“—„Idziemy Pietrze“
„Bracie tyś Juda.
Pogoda cudna, czyste powietrze,
Z tych chmurek niebo zaraz się przetrze,
Jarmark się uda!“

O handlu śnili przez noc, przez całą,
Kupili wódki,
Piotrowi grosza nie brakowało,
A Marcinowi trzy się zostało,
Rachunek krótki.

I skoro nadszedł świt, nie śniadając
Wyszli do miasta,
Czem było śniadać trojaka mając?
Wyszli, w tem drogę przebiegł im zając,
Przeszła niewiasta.

„Ehe! zła wróżba!— Piotr na to rzecze, —
Coś mi się widzi,
Że za nic pójdą zamiary człecze,
Zając przebiega, baba się wlecze...“
Marcin zeń szydzi:

„I! co ta! głupstwo, rzecz to jednaka!...
Lecz coś mi ckliwo...
Co dbać na babę, co na szaraka,
Ot, kupię wódki, wszak mam trojaka,
Dawajcie żywo!...“

Wypił, odchrząknął, i zaraz raźniéj
Idzie już w drogę,
A Piotra trojak w kobiałce drażni:
„Marcinie, dobrze mierz, po przyjaźni,
Ja łyknąć mogę.“

Trojak w kobiałce znów u Marcina,
A butle letsze;
Marcin znów ckliwość swą przypomina,
A że na ckliwość wódka jedyna:
„Daj wódki Pietrze!“

Tak, co chwil kilka, co kroków parę,
Sprawą trojaka,
Ten wypił miarę, ten wypił miarę,
Podochociły dziadziska stare, —
Idzie tabaka!

A po godzinie przy téj gorzałce
I przy tabace,
Piotr miał już w pałce, Marcin miał w pał-
I, choć li trojak krążył w kobiałce: (ce
„Daj wódki! płacę!...“

Iście za djablą sprawą tak pili,
Bies to ich niesie,
Wszakże trojakiem jednym płacili...
Gdy wódki zbrakło, nie myśląc chwili,
Posnęli w lesie.

I spali twardo, aż nad wieczorem
Marcin się budzi.
„Jakim tu, — myśli, — leżym taborem?
Kędy nas droga wiodła tym borem
Zdala od ludzi?“

Dumali z Piotrem: i przypomnieli,
Aż w północ prawie,
Jak ową wódką handlować mieli,
Jak się popili i jak posnęli
W lesie na trawie.

A zrozumiawszy wypadek głupi,
Rzekli: „oj dosyć!
Głupi kto wódki na handel kupi,
Chcesz się kto upić, w porę się upij,
W jarmark idź prosić.

„Bo to, co żydom korzyść przynosi,
Dziady zabija;
Głupi, kto z handlu korzyści głosi,
Dla dziada jedna, gdy o grosz prosi,
Spekulacyja.“

5 Października 1857

Kapusta.

(Utsęp z projektującego się niniejszem dzieła zbiorowego p. n. *Jarzyny polskie*)

Kapusto! na polach rosnąca głowiasto,
I pilnie zjadana przez mszyce!
Wiedz o tem, że dzisiaj i wioskę i miasto
Opisem twych zalet zachwycę!

Tyś cudna jarzyna; twa nazwa: „kapusta"
Tak dobra do rymów chaosu,
Że serce się pali do nazwy, — jak usta
Smakosza do faski bigosu.

Cóż brukwie? cóż rzodkwie? cóż marchwie? z nich rymy
Jak smak ich niemiłe i głupie,
O! wierz mi, kapusto! na zapas téj zimy
Nie marchwi lecz ciebie nakupię!

I mięsa w cię wkraję, i mąką zapalę,
Cebuli przyłożę dość sporo,
A potem przy ogniu przykopcę, przysmalę;
Toż będę zajadał za czworo!

Lecz wyjdź mi na zdrowie, kochana kapusto!
Wynagródź wytrwałość mą w cześci,
I gdy cię przypadkiem przyrządzą zbyt tłusto,
Nie sprawiaj zbyt wielkich boleści.

Bo masz ty tę wadę, kapusto, masz wielką;
Prócz tego masz jedną, jedyna!
Po tobie trza cieszyć się piwa butelką,
A wcale nie można pić wina.

Och! możeś stworzona dla synów proroka,
Ten symptom z ich wiarą tak bliski!
Złe wino po tobie, lecz dobry blask oka,
I uścisk namiętnéj huryski!

Więc daléj panowie, po dobrym bigosie,
I blondyn, i brunet, i łysy,
We fraku na grzbiecie, ze szkiełkiem na nosie,
Ruszajcie pomiędzy hurysy!...

I usta niech sławią, a oko niech śledzi,
Ich oczka, ich buzie, ich szyje,
A komu w rozmowie nie stać odpowiedzi
Niech mu się kapusta. . *przypomni!*

28 Maja 1858.

Trzech Dandysów.

Ballada

Stary dandys, dandysów,
Takich jak sam farysów,
Na poddasze przyzywa i prawi:
„Rękawiczki wziąć białe,
Fraki na grzbiet spłowiałe,
Napiąć dowcip, by działał najżwawiéj!

„Bo w kassynie mówiono,
Że ma być otrąbioną
Po pieniądze potrójna wyprawa:
Jedni w boje pałkowe,
Drudzy w preferansowe,
Trzecich w bilard do walki pułk stawa.

„Na to wam jak na lato,
Wróćcież z kiesą bogatą,
Niech przemożna fortuna was darzy!
Ja tam dzisiaj nie jadę,
Lecz jadącym dam radę:
Trzech was, do trzech zwróćcie się ołtarzy.

„Jeden dandys z was, śmiałek,
Niechaj rusza do pałek
Do karcianych na stolik zielony,
Tam są ruble i pece;
Tylko to mu zalecę,
Niech w zbyt pewne wziąć się nie da szpony.

A drugiego niech szansa
Zwrósi do preferansa,
Niech współgraczom do płatek pomaga,
W puli punktów jak piasku,
A więc może bez wrzasku
Grosza nabyć, jeśli jest odwaga.

„A na bilard niech trzeci
Zagrać w pulę poleci;
Wprawdzie stawki nie będą dość sute,
Lecz jak ogra współgraczy,
Niech policzy, zobaczy,
Sucie każdą opłacą minutę!

„Bo nad wszyttkich prac zyski,
Nad hurysek uściski
Milsze w karty zebrane grosiwo;
Kieszeń zdarta, jak szmata,
W chwilę pełna, bogata,
Ruble, pece, mnożą się tak żywo!

„Ztamtąd jam przed półrokiem,
Zwykłym dandzich spraw tokiem,
Wziął sto peców, nie mając ni gronia,
A choć teraz z nich mało,
Bo nic nie pozostało,
Pomnę jeszcze te grackie ustronia.“

Taką dawszy przestrogę,
Błogosławił na drogę,
Oni według rozkazów, marsz! dalej!
Chwile biegą, a biegą,
Nie ma ani jednego,
Stary myślał że krocie wygrali.

W noc, gdy idą spać gracze,
Ktoś tam do drzwi kołacze,—
To pukanie staremu jest miłem.
Myśli; „pewno bogaty
Wraca dańdzio do chaty!“—
„Nie, mój stary, bez grosza wróciłem.“

Dwaj dandowie już spali,
Gdy ktoś do drzwi znów wali:—
Tego dola zapewne nietaka!
Stary dandys otwiera,
Na młodego spoziera:
„Frak przegrałem i wracam bez fraka!“

Ot ci dobra nauka!
Ale jeszcze ktoś puka; —
Tego głucha tylko wita cisza,
Bo nim zdobycz pokazał,
Stary dandys już kazał
Na poddasze nie wpuszczać hołysza.

15 Listopada 1858.

On, Ona i Tamten.

Powieść.

Hej! moi państwo. może się uda,
Romans opowiem wam tkliwy,
Będą w nim we snach nieśnione cuda,
Niebyłe na jawie dziwy.
Zaczynam... Ona jak marchew ruda,
On jak gołąbek był siwy...

Słuchacze! para ta jest dobraną,
Niech każdy z was szczerze wyzna,
Może być ruda panna kochaną,
Kochanym siwy mężczyzna,
I wierzcie, nieraz rudość marchwianą
Kocha gołębia siwizna.

On ciągle bywał u swéj kochanéj,
Wdzięki jéj chwalił najstaléj,
Zwał ją balsamem na swoje rany;
I miłość, idąc tak daléj,
Rosła jak potok w górach wezbrany,
Aż się nakoniec... pobrali.

Ksiądz ich w kościele powiązał stułą,
I próżne byłyby trudy
Spisać co serce siwego czuło,
Co biło w serduszku rudéj.
Jedno i drugie jak młotkiem kuło
W ich łonach tudy i siudy...

Stary był możny, wziął niebogatą,
(Bo z rudą było dość chudo).
Szczęściem ją darzył i pragnął za to,
Jak mało pragnął... o cudo!...
Chciał w intercyzie, by piegowatą
Zawsze dlań była i rudą!

Żoneczka wierną téj intercyzie
Lat pół tuzina została,
Siwego męża troska nie gryzie,
Wielka, ni średnia, ni mała,
Lecz, — że to djabeł gdzie nie trza wlézie,
Więc pani... kogoś poznała.

O! niech słuchacze, nikt z was mężowi,
Pragnący by go rozśmieszył,
Téj historyjki méj nie opowié,
Bo by mu grotem piers przeszył.
Otóż ktoś... (mąż się o tem nie dowié),
Miłością rudéj się cieszył.

Może powiécie, że to są plotki,
Może powiécie, że baśnie,
Że czysty płomień miłości słodkiéj
W młodym przy rudéj zagaśnie?
Nie, miłe cnotki! lube niecnotki!
To prawda... ja ją wyjaśnię.

Bielideł wpływem twarz jéj odmłodła,
I znikły piegi z lic, z nosa,
Fryzjerską sztuką piękności godła
Dała peruka blond włosa,
Więc ruda żona nie męża zwiodła,
Lecz oszukała młokosa.

Małą jéj zdradę w wymownem słowie
Żoneczki wam wytłómaczą.
Wszak można z młodych kpić co się zowie,
Rogi dla siwych cóż znaczą?
Choć więc kto z panów źle o niéj powie,
Dość, że jéj panie wybaczą.

Może ciekawość w was się wytęża
Jaki jest morał w téj mierze?
Téj ciekawości zgniotę ja węża,
Morał ów powiem wam szczerze:
„I ruda żona siwego męża
Czasami w rogi ubierze."

Och tak! bo państwo nie dadzą wiary
Jakie są kobiet wybiegi:
Tamtenby dla niéj wychylał czary
Pełne piołunu po brzegi,
A siwy widzi przez okulary
Wciąż rude włosy i piegi!

21 Sierpnia 1858.

RYMY OKOLICZNOŚCIOWE.

W Imionniku ***.

Jak Twardowski piekłu cyrografem
Przed wiekami zapisał swą duszę,
Tak ja, losu zrządzeniem, czy trafem,
Swoje Pani zapisać tu muszę.

Jak on spełnię swe *verbum nobile*,
Gdy oddania chwila będzie bliska,
Lecz wprzód tylko, chciałbym wiedzieć tyle:
Kto z nas obu więcéj na tem zyska.

Jużcić wątpić byłoby nie w porę,
Z któréj strony *przyszłość* więcéj warta,
Gdy za pana ja aniołka biorę,
A Twardowski wziął starego czarta.

Lecz cóż *przyszłość*? któż ją zna i widzi?
I kto kiedy na przyszłość pamięta?
Ja tak myślę: rachujmy jak żydzi,
Kto z nas *dzisiaj* większe ma procenta?

Pan ów darzył go rozkosznym bytem,
Mnie przyjaźnią Pani darzy skromniéj,
On mu w Rzymie duszę zabrał przytem, —
Pani łatwo o mojéj zapomni...

Zapomnienie! o! to groźne słowo,
Lepsza wieczność w pamięci. . choć biesa;
Darmo myślę i pracuję głową,
Jak poprawić swoje interesa,

Bo nie wierzę pamięci kobiecéj...
Ot, chromego podobno muz syna,
Kiedy będziem od siebie dalecy,
Niech rachunek ten Ci przypomina.

Marzec 1857.

Klocek w popielec.

DO *

Dla panien starszych, ale... filutek,
Chcących jak Ewa wziąć owoc węża,
I nim nakarmić Adama męża,
Klocek w popielec przynosi smutek.
Dla panien starszych, ale... dewotek,
Co drżą przed samem grzechu wspomnieniem,
Dla amatorek niewinnych plotek,
Klocek w popielec bywa zmartwieniem.
Dla panien starszych, co romansowo
Marzą wśród jasnych lub ciemnych nocek,
Jak usnuć jaką intrygę nową,
Nieszczęściem bywa w popielec klocek.

Dla panien starszych, choćby bez *ale*,
Co pędzą skromnie i przyzwoicie
Karnawałowe i postne życie,
Klocek w popielec, to... gorzkie żale.
Razem więc, słowem powiedzmy krótkiem,
Zazwyczaj klocek z dnia wstępnéj środy
Spędzać zwykł z czoła uśmiech pogody,
Darzyć: nieszczęściem, zmartwieniem, smut-
Bo niedołężną tłómaczy prozą (kiem,
Wszystkie poezji pełne nadzieje,
I szepcze w uszka tym pannom... zgrozo!...
Że się z nich każda niby... starzeje.
Lecz panien młodych, pięknych, jak pani,
Ów, wprowadzony prawem tak starem,
Klocek w popielec serca nie rani,
Bo jest niewielkim tylko ciężarem,
Zręcznie przypiętym zwinnéj tancerce
Obyczajowéj k'woli potrzebie,
Którýby każdy dźwignął za ciebie,
Kto tylko w piersiach męzkie ma serce.

19 Lutego 1857.

Do Z*. F*.

Przesyłając początek powieści Z. Kaczkowskiego p. n. *Annuncjata.*

Niech przepadną smutki stare,
Mnie niech będzie wolno zato
Dzisiaj pani z Annuncjatą
Novum gaudium annuntiare.
(To łacińskie mądre słowo,
Znaczy: „głosić radość nową.“)

Niechaj nad nią radość szczera
Spotka cię, i rozbrat z nudą.
Życzę wierszem, bo *altera*
Natura est consuetudo.
(A to znów tak się tłómaczy,
Że „nałóg naturę znaczy.“)

Nie wiem wprawdzie jak tam będzie,
Czy Pompiljusz będzie żonat
Z piękną Numą, lecz miéj w względzie,
Że *finis opus coronat.*
(To zaś trzecie znaczy zdanie:
Raczcie czekać końca, panie.)

Kończąc wiersz ten śmieszny, znowum
Z końcówkami przyszedł na to,
Że chcę pani z Annuncjatą
Annuntiare gaudium novum.

1857.

Do L. Z.

Który uchwycił w cyrku spadającą z konia amazonkę.

Było to w piątek... prześliczna Lisetta
Wskoczyła zgrabnie na szerokie siodło,
I pędzi wkoło, (bo okrągła meta.)
I zrazu bardzo dobrze jéj się wiodło.
Wokoło wszystkich patrzących zachwyca,
Grzmi oklask, — piasek rzucają kopyta,
Nagle... upada czarowna dziewica,
Lecz, Ludwik zręcznie w objęcia ją chwyta.

Cześć ci Ludwiku! amazonek chóry
Poniosą imię twe w grody i stepy.
Dostaniesz medal z Allahora skóry,
Obnoszon będziesz wraz z koniem Mazepy! (1)

---

(1) Warszawianie pamiętają zapewne i arabczyka Allahora, pokazywanego przez Renza, i przedstawianą w jego cyrku wielką scenę historyczną, podług najwierniejszego historyka Bajrona i najprawdopodobniejszéj fantazji reżyserów hypodromu, w któréj dwudziestu czterech najętych z ulicy artystów siły, pełnych poświęcenia dla złotówki, obnosiło w tryumfie konia, który uniósł Mazepę, wraz z Mazepą i Jejmość panią Mazepiną, na pełnym historycznego znaczenia drewnianym pomoście.

Do Wład. G.

W dniu imienin.

I.

Pieśń méj lutni do nowéj kieruję dziś mety,
Na twą przyszłość, o wieszczu załamałem parol,
I wróżyć ci ją będą moje dwa sonety,
Tak wesołą, jak wesół w cyrku Stonette Karol. (1)

---

(1) Pan Stonette, znakomity komik teatru Asthley w Londynie, miał zaszczyt przedstawiać scenę z trzema tressowanemi psami, między któremi Hektor na bliższą zasługiwał nieuwagę.

Niech świat cały w łzach tonie, kąpie się. lecz
nie ty!
Ty wśród w cześć twą śpiewanych ód, hymnów, barkarol,
W nieśmiertelności bluszczu, ze sławą poety,
Wynajdź w polskim języku czwarty rym na
arol.

Niechaj ci przyszłość jasna, z samych róż uwita,
Snuje się wieszczym ciągiem, jak życzy mój
sonet,
Przetańcz życie wesoło, jako słoń Pepita (2),
Niech w twarzy twojéj zawsze świat wesele
czyta,
Miéj miejsce na Parnasie, jak w cyrku ma Stonette,
A sonetem na sonet odpisz mi i... kwita.

---

(2) Uczony członek akademji Renza w r. 1857 w Warszawie.

II.

Wiész, że gród nasz zabawia wspaniały cyrk
Renza
Małpą Żoko, psem Plessem (3), dowcipnym
Qualitza (4),
Że zjednoczona wielkość ludzka i zwierzęca
Bawi nas i zadziwia, zdumiewa, zachwyca.....

Wiész jak na stołku Chadwick (5) zgrabny się
wykręca,
Wiész jako jeździ konno Kätchen (6) świeżo-
lica,
Jako Hölle (7) ostrogą nad koniem się znęca,
Jako gaz świeci w cyrku jaśniéj niźli świéca..

(3) Których sztuki cyrkowe tém więcéj podziwiano, że im nie towarzyszyła katarynka.

(4) Dowódzca pieszéj kawalerji w bojowych zastępach Renza.

(5) Znakomity komik. (Ob afisze).

(6) Wykonywała skoki forsowne przez obręcze próżne i zaklejone.

(7) Pewien uprzejmy sprawozdawca powiedział w swoim czasie, że ta amazonka powinna się nazywać *Himmel.* Podobnéj uprzejmości sprawozdawczéj od krytyków cyrkowéj i

Niech więc jak Hölle piękna kocha cię nie-
viasta,
Niech światło sławy twojéj jak gaz jasno
świeci,
Gdy się worek z pieniędzy jak koń z sił wy-
szasta,
Niech ci go wnet napełnia złotem można kasta,
Gdyż dziś pono do złota wzdychają poeci,
A na sonet sonetem odpisz mi i... basta.

27 Czerwca 1857.

---

rymotwórskiéj akrobacji radby się doczekać i autor niniejszego zbioru, jeżeli zwłaszcza, druga część ogólnego tytułu dałaby się dobrze usprawiedliwić i bez pomieszczenia tutaj *Rymów okolicznościowych*, miłych sercu osób, do których adresując się niefortunny autor je adresował.

Do J. K.

Odpowiedź na zapytanie.

Przyznam ci się, choć to grzech,
Że się kocham razem w trzech.
Kieszenią, sercem, urodą
One w moich snach rej wiodą,
Bo też cudne to zjawisko!
Agrypino! Dydo! Prysko!
Trójko Gracji, trójko Park!
Panie losów mych i snów!
Macie mnie od stóp do głów,
Trok lic mych, słodycz warg!...

Kiedy z gęśli mojéj młodéj
Tysiąc rzewnych dźwięków płynie,
Dzielnéj muzy wieszcze płody
Niosę w darze Agrypinie...
Kiedy znów z zakątków głowy
Jak tłum drogą dowcip idzie,
Cząc wzrok bystry i włos płowy
Przynoszę go w darze Dydzie;—
A kiedy sprawą kieszeni
Chwila zabawy zabłyska,
Rozszaleni, zachwyceni
Bawimy się: ja i Pryska. —
Cóż jest milszego dla świata
Nad cnéj fortuny uściski?
Pryska jest bardzo bogata,
Jak tu nie kochać téj Pryski?...
Piękność i młodość rej wiodą
W tem życiu troski i biédy,
Dyda jest piękną i młodą,
Jaktu nie kochać téj Dydy?...
Z czułością będzie się snuło
To biedne życie najszybciéj,—

Agrypcia bardzo jest czułą,
Jak tu nie kochać Agrypci?...
Którą wziąć? kto radę poda
Ten wdzięczność moję pozyska:
Bogata, czuła, czy młoda?
Agrypcia?... Dyda?... czy Pryska?..,

USTĘPY Z PRZEKŁADÓW.

Z ALFREDA DE MUSSET.

Sonet.

Napisany jako wstęp do zbioru poezji.

W téj książce macie moję młodość całą,
Jak ją złożyłem, ja sam nie wiem prawie,
Możeby wiele poprawić się zdało,
Wiem to, wyznaję, ale nie poprawię.

Człowiek się tylko zmienia w życia wrzawie,
Przeszłość jak posąg jest jedną i trwałą,
Leć więc me ptaszę... ja ci błogosławię,
Bóg poprowadzi, — leć do ludzi śmiało.

Ktośkolwiek, co mą książkę wziąłeś w ręce,
Wprzód nim w niéj wszystko będzie przeczyta-
Niechaj myśl twoja sądu nie wyrzeka, (ne,
Bo pierwsze rymy moje są dziecięce,
Bo drugie rymy moje — młodociane,
Ostatnie ledwie są płodem człowieka.

Andaluzjanka.

Czyście widzieli w Barcelonie
Andaluzjankę czarnéj brwi,
Bladą jak słońce w mgły obsłonie,
Moją kochankę, moją donię,
Markizę d'Amaëgui?

Śpiewałem nieraz dla wietrznicy,
Takt śpiewki bijąc częstom drżał,
I czatowałem na ulicy,
By spojrzéć w niebo jéj źrenicy,
Gdy w jéj firanki wietrzyk wiał.

Ona jest moją, tylko moją,
Te dwie brwi czarne, to skarb mój,
Jest moją z nóżką, z talją swoją,
Z włosami, które skroń jéj stroją,
Jako najdroższy królów strój.

Moją ta szyja, co się zgina
Tak cudnie, kiedy ona śpi,
Gdy kryje wdzięki jéj baskina,
Dłoń rękawiczka ciasna spina,
Nóżka w trzewiczku małym tkwi.

Boże! gdy ona się nachyli,
Wzrok zwróci na swéj sukni tkań,
By przejrzéć fałdy swéj mantyli,
Przez wszystkich świętych z ziem Kastylji,
Któżby jéj życia nie niósł w dań?

Jakże jest piękną, gdy niewieściéj
Żar namiętności w krwi jéj wre;
Pełna rozkoszy i boleści,
Pocałunkami rani, pieści,
I szepcze ciche słowa swe.

A kiedy ledwie słońce wstało,
Gdy rano piosnką wita dzień,
W pończochę kładąc nóżkę małą,
Jak jest rozkoszną, jak wspaniałą,
W tem zaniedbaniu, wśród tych pień.

Więc do zasadzki, gdzie jéj ślady,
Tam dążmy, paziu! — piękna noc,
Chcę dzisiaj śpiewać serenady,
I nie obchodzą mnie alkady,
I nie powstrzyma żadna moc.

Noc Grudniowa.

POETA.

Kiedy mnie do szkół posyłali,
Zostałem raz w samotnéj sali
Rozbierać lekcji programata,
I na przeciwko przed mym stołem
Usiadło dziecię z bladem czołem,
Podobne do mnie jak do brata.

Twarz jego była smutna, biała,
Lampa ją blado oświecała;
Patrzyło w książki rozrzucone,
O dłoń mą wsparło skroń swą białą,
I tak do rana pozostało,
Z uśmiechem, ale zamyślone.

Gdy lat piętnaście ukończyłem,
Szedłem odetchnąć tchnieniem miłem,
Co w lesie z wrzosów w niebo wzlata,
A u stóp drzewa gdzie spocząłem
Siedział téż młodzian z bladem czołem
Podobny do mnie jak do brata.

Spytałem którą iść mi stroną?
Miał w ręce lutnią nastrojoną,
A w drugiéj trzymał polną różę;
Pozdrowił mnie przyjaźnie, mile,
I odszedł nieco, milczał chwilę,
A potem palcem wskazał wzgórze.

W epoce, gdym śnił o kochaniu
Marzyłem smutny w swem mieszkaniu,
Że miłość ciernie do róż wplata,
A przy kominku, gdzie spocząłem
Siadł cudzoziemiec z bladem czołem,
Podobny do mnie jak do brata.

Był on strapiony i ponury,
Dłoń jedną zwrócił w błękit, w chmury,
A ciężki miecz unosił w drugiéj,
I cierpiał to co ja cierpienie,
Lecz zniknął szybko jak westchnienie,
I przeszedł jako sen niedługi.

W epoce zwątpień i niewiary
Poduiosłem toast z pełnéj czary,
Biesiada wrzała w krąg bogata,—
Wprost mnie za tymże samym stołem
Siadł współbiesiadnik z bladem czołem,
Podobny do mnie jak do brata.

Oczy perłami łez błyszczały,
Był on jak anioł smutku biały
W koronie, którą z ciernia zwito,
Lutnia rzucona precz — na ziemi,
Szaty krwią były zbroczonemi,
Pierś nagą mieczem miał przeszytą.

O! pamięć moja mnie nie myli.
Jam go spotykał w każdéj chwili
Ważniejszéj w życiu mojem całem
Byłoż to widmo z bladem czołem
Moim szatanem lub aniołem,
Dość, że je wszędzie, wciąż widziałem.

A gdy zwalczyły mnie cierpienia
I końca, albo odrodzenia
Pobiegłem dożyć w innéj ziemi,
I w obcych krajach Europy
Nadziei chciałem znaleźć tropy
Jakby nie były znikomemi.

I w Pizie u stóp Apeninów,
W Kolonji wśród Germanji synów,
W Nicei wpośród dolin skrytéj,
W Florenckich pysznych gmachów głębi,
Wśród Alp gdzie śnieg odwieczny ziębi
Wzniesione w niebo górne szczyty;

W Genui wśród cytryny gajów,
W Vevay wśród roślinności rajów
I w Hawrze po nad oceanem,
W Wenecji, głośnéj sławą zgasłą,
Któréj potęgi dawnéj hasło
Dziś już zostało zapomnianem;

Wszędzie, gdziem w jasnych nieb prze-
Zatapiał serce swe i oczy, (zroczy
Nękany bólem rany staréj,
Gdzie wiodła mnie kulawa nuda,
Wróżąc zajęcie, wróżąc cuda,
A za przybyciem płosząc czary;

Wszędzie gdziem chciał niepowstrzymany
Świat odkryć nowy i nieznany,
Urzeczywistnić sen, co łudzi,
Wszędzie gdzie tylko spotykałem
To, co już znałem i widziałem,
Pełnych obłudy, małych ludzi;

Wszędzie, gdzie tylko niosły konie,
Gdzie w drodze kryłem twarz swą w dło-
By płakać łzami niewieściemi, (nie,
Gdziem duszę odkryć chciał przed świa-
Jak ptaszę wypierzone latem, (tem
Gdy słońce ciepléj świeci ziemi;

Gdziem strudzonemu pragnął łonu
Albo spoczynku, albo zgonu,
Gdziemkolwiek zbliżył się do świata,
Szedł zawsze drogą, którą wziąłem,
Ów nieszczęśliwy z bladem czołem,
Podobny do mnie jak do brata.

I któż ty jesteś, że cię nieprzerwanie
Spotykam w parze z moim cieniem?
Nie sądzę, widząc twoje zadumanie,
Żebyś był złem mem przeznaczeniem.
W łzie twojéj tyle znajduję litości,
Twój uśmiech taka rzewność mroczy,

Że widząc ciebie, wierzę Opatrzności,
Twa boleść jest mi siostrą méj załości,
Zdradzają przyjaźń twoje oczy.

Któż ty więc jesteś? Na twem bladem czole
Nie czytam nigdy słów przestrogi,
Płaczesz nademną widząc moje bole
Skrzywione widząc moje drogi.
Od lat dwudziestu bezjimienny, blady,
Ponury cień twój przy mnie gości,
Powiedz czy Bóg cię posłał w moje ślady?
Płaczesz mych smutków bez pociechy, rady,
Nie dzielisz chwil méj wesołości.

I dziś mi wieczór zjawiłeś się jeszcze
W ponurym cieniu nocy słotnéj.
Do okien biło skrzydło burz złowieszcze,
Ległem na łożu swem samotny,
I wspominałem przeżyte godziny,
Kiedym uścisków zbierał kwiaty.

I śniłem snami rzuconéj dziewczyny,
Czułem swe życie niebogate w czyny
Rwące się zwolna w stare szmaty.

Zbierałem włosy, listy, i te szczęty
Wspominające młode szały,
Dalszy ciąg mowy dawno rozpoczętéj
Ponuro w ucho mi szeptały.
Dumałem, patrząc w ten skarb wspomnień ma-
Trzymając go w drgającéj dłoni, (ły,
Że bóle które one obudzały,
Że oczy, które łzy za niemi lały,
Na zawsze dla mnie cień osłoni.

Obwinąłem smutny w sukno czarne
Pamiątki lepszéj mojéj doli,
I pomyślałem jak nikłe i marne
Wszystko co cieszy nas i boli.
Jak nurek w głębi morza niezmierzonéj
Badałem świat mój zapomniany,

I zapuszczałem weń wzrok w różne strony,
I tłum nie widział łzy w ciszy ronionéj
Po méj miłości pogrzebanéj.

I na ten skarb mój ze łzą pożegnania
Pieczątkę czarną położyłem,
Mając go oddać, w konieczność oddania
Nie chciałem wierzyć, i wierzyłem
Słaba kobieto! w dumie swéj zuchwałéj
W pamięci mojéj znowuś wstała:
Po co twe słowa twym myślom kłamały?
Po co łzy twoje, i na co się zdały
Twe łkania, jeśliś nie kochała?

Tyleś cierpiała, łez wylałaś tyle,
Lecz wola twa nas rozdzieliła,
Bądź zdrowa, życzę byś rozstania chwile
Z obojętnością policzyła.
O! jedź daleko i sercem bądź chłodną,
Nieś dumę swą zaspokojoną!

Bo moja duma jest zdolną i głodną,
By cios zadany przez twą miłość zwodną
Innym w niéj ciosem zastąpiono.

O jedź daleko, jedź, jedź biedne dziecię,
Któreś przebaczać nie umiało,
Opatrzne bóstwo, co włada na świecie
Wszystkiego oddać ci nie chciało.
Jedź, jedź, tam gdzie cię woła przeznaczenie
Nie wszystko tracę, tracąc ciebie,
Wiatrom rzuć naszéj miłości wspomnienie,—
Lecz gdyś kochała, po co rozłączenie,
Powiedz mi przez Boga na niebie!

Gdym snuł te myśli ze tłem nocy czarnéj
Ponura postać się mieszała,
Z poza firanek szedł jéj cień cmentarny,
I na mem łożu usiadała.
Któż więc ty jesteś smutny i ponury,
Mój wizerunku z bladem czołem

Co chcesz? przelotny ptaku z po nad chmury,
Czy snu, czy ducha zesłanego z góry
W twych lic zwierciedle nie pojąłem?

Czy jesteś bladą młodości méj marą,
Która mi w życiu towarzyszy?
Czemu twą wszędzie widzę postać szarą,
W chwilach zadumy, płaczu, ciszy?
Ktoś ty jedyny gościu w méj komnacie
Żeś tak boleści mych ciekawy?
Że mnie podobne przybierasz postacie?
Któż więc ty jesteś? kto ty jesteś? bracie,
Widzu méj każdéj chwili łzawéj!

WIDMO

Jednego ojca mamy społem.
Nie jestem stróżem twym aniołem,
Ni duchem złego przeznaczenia,
Idę gdziekolwiek w świat szeroki,
Ci których kocham zwrócą kroki,
Na tym padole łez, cierpienia.

Nie jestem bóstwem, ni szatanem.
I tyś mnie nazwał mojem mianem,
Mówiąc, że bratem jestem tobie,
Gdzie pójdziesz zawsze z tobą będę.
A w dniu ostatnim twym usiędę,
Na zimny kamień na twym grobie.

Niebo mi twą oddało dolę,
Więc kiedy cię przycisną bole
Przyjdź do mnie z duszą zaufaną,
Ja chętnie pójdę w twoją drogę,
Lecz dotknąć dłoni twéj nie mogę,
Bracie! Samotność moje miano.

Do V. H.

Sonet.

O na tym świecie trzeba ukochać zbyt wiele,
Ażeby poznać przedmiot najdroższy, jedyny:
Cukierek, morze, niebo, spokój czy wesele,
Kobiety, konie, róże, złoto czy wawrzyny

Trzeba rozkwitłe ledwie kwiaty deptać śmiele,
Trzeba wiele pożegnać, przecierpieć bez winy,
Aby się uczuć starym na duchu i ciele,
I z skutków umieć pojąć tajemne przyczyny.

Ze wszystkiego, czegośmy w życiu skosztowali,
Najmilsi nam zostają przyjaciele stali:
Rozbiegliśmy się, ale nieszczęście groziło
I nadbieżał druh stary, — dłoń wsparła się dłonią,
I myśli za wspomnieniem dni przeżytych gonią,
I wierzym w nieśmiertelność: Wczoraj nam wróciło.

Smutek.

Sonet.

Stracone życie me i siła,
Przyjaciół grono, i wesele,
Wszystko, — i duma która śmiele
Wiarę w mój genjusz mi wmówiła.

Gdy prawda twarz mi swą odkryła,
Poznałem przyjaźń w tym aniele,
Lecz nim pojąłem ją, jéj cele,
Już niesmak we mnie obudziła.

A jednak ona wieczna, święta,
I tłum co na nią nie pamięta.
W swych przekonaniach zbyt się myli.
Bóg mówi słowy jéj prostemi.
Dla mnie zostaje na téj ziemi
Jedyne szczęście w płaczu chwili.

8 Maja 1859

Z HEINEGO.

Jak w głębinach dzikiéj fali
Drży w noc słaby blask księżyca.
A on w ciszy dąży daléj,
Wciąż spokojny, wciąż zachwyca,
Tak twa piękność ukochana
Drży mi w każdem serca tętnie,
Choć umkniesz w dal niepowstrzymana
Obojętnie, beznamiętnie.

Listopad 1858.

Rozmowa.

(Z Francuzkiego).

Na co ludziom służby twoje?—
Przyjaźni miłość mówiła,—
Ja tylko szczęściem ich poję,
We mnie ich życie i siła.“
„Mnie marny pozór nie łudzi,—
Odrzekła przyjaźń, — lecz kiedy
Zobaczę łzy biednych ludzi,
Ktore wyciskasz, — o! wtedy
Mój to im siły udziela,
Ból goi, wyzwala z biedy,
Uśmiech wesela.

6 Marca 1859.

Skarga.

(Z Rossyjskiego),

Żem zbladła mówili domowi i mama,
I że mi z tem dobrze, — fałsz mówią gderacze!
Nie wiedzą, że często wśród ciszy i sama
Jam smutna, aż strach mnie, i nieraz w noc płaczę
Czy mam wam powiedzieć, lecz cicho, w sekrecie,
Dla czego mnie mama pilnuje surowa?
Lecz złóżcie przysięgę, gdy wiedzieć to chcecie,
Nic mamie nie mówić, niech Bóg was uchowa!

Widzicie, w téj wiosce, gdzie z mamą mieszkamy
Zamieszkał gość chory, a krewny méj mamy
Wprzód go unikałam: a dziś nie wiem po co
Doń się przywiązuję codzień z większą mocą?
I dzisiaj chcąc tylko wpaść w oko mu przecie,
Ja nie wiem już sama co sobie pozwolę,
Pomysły wyczerpię dlań wszystkie na świecie.
To włos rozpuściwszy po szyi i czole
Wciąż przed nim się bawię jak mała, jak dziecię,
To siadam w kąciku i milcząc ukradkiem
Spoglądam w twarz jego, nie będąc dość śmiała
By wyrzec słów kilka; — to w włosach z bławatkiem
I drżąca, by mama mnie tam nie spotkała
W ogrodzie wsi naszéj, za nową altaną,
Po za bzów aleją, tak chcąc być spotkaną,
Napróżno go czekam...

Czy mam wam powiedzieć za co mnie łajano?
Ot mżył sobie deszczyk, a jednak w niedzielę,

Dlań kwiatków bukiecik pobiegłam rwać rano,
Przez rosę, w mgłę chłodną, a te miałam cele,
By za chłód poranku, trzewiczków zmaczanie,
Dał słówko dziękczynne lub uśmiech w zamianie.

Lecz cóż mam z nim robić gdy taki uparty?
Jak dawniéj przyjmuje to cicho i chłodno,
Jak dawniéj sam siedzi, i patrzy w ksiąg karty,
Jak gdybym od nudnych ksiąg mniéj była godną.

4 Września 1858.

Śpiewka.

(Z Rossyjskiego).

Za okienkiem błyska w ciemnie
Włos blond, lice hoże,
Nie śpisz więc marząc przyjemnie,
Na mnie czekasz może.

Wyjdź tu piękna, gród tak pusty.
Z uściskiem, z pieszczotką,
Serce z sercem, usta z usty
Połaczą się słodko.

Nie drżéj luba, że blask bije
Zorzy jasnéj takiéj,
Ja cię płaszczem swym okryję,
Nie będzie poznaki.

Gdyby nocna straż przybyła
Mów: „żołnierz“ – dość na tem;
Gdy kto spyta z kimeś była,
Odpowiedz, że z bratem.

2 Marca 1859.

PRZEKŁADY Z LERMONTOWA.

Rusałka.

Po rzeki głębinach przepływa dziewica,
Rusałka od pełni olśniona,
I rada doplusnąć do tarczy księżyca
Srebrzyste wód krople z fal łona.

Szumiące i wartkie wód rzeki odmęty
Obrazy chmur bladych kołyszą,
I śpiewa rusałka, jéj głos nad brzeg kręty
Przebiega i walczzy tam z ciszą.

Tak śpiewa rusałka: „u mnie na dnie toni
Zmrok zawsze, wśród burz i pogody,
I rybek się złotych gromadka tam chroni,
Z korali, z kryształu tam grody.

„I tam gdzie dno piasków za pościel mu służy
Pod cieniem rozrosłéj wód trzciny,
Spi rycerz waleczny, porwany wśród burzy,
Spi rycerz, syn obcéj krainy.

„Rozwijać mu włosy wijące się cudnie
Lubimy w noc, tańcząc wesoło,
Lubimy całować w palące południe
I usta rycerza i czoło;

„Lecz na głos pieszczoty,— dla czego?— nie
Zgodnemi nie ozwie się tony, (wiemy,
I śpi bez ocknienia wciąż zimny i niemy
Ku piersi méj białéj skłoniony."

Tak śpiewa rusałka; jéj głos nad brzeg kręty
Przebiega i walczy tam z ciszą.—
Szumiące i wartkie wód rzeki odmęty
Obrazy chmur bladych kołyszą.

Pieśń kozacka nad kolebką.

(Rytm oryginału).

Spij mi piękny mój chłopczyno,
Czarne oczki sklej,
Z ócz księżyca blaski płyną
Do kolebki twéj,
Baję ci co się pamięta,
Skazkę, pieśń, ej! ej!
Do snu tylko zmruż oczęta
W czasie piosnki méj.

11

Terek mknie przez kamienisty
Wąwóz aż do mórz,
Wszedł czeczeniec na urwisty
Brzeg, i ostrzy nóż,
Lecz twój ojciec doświadczony
Wojak w walce złéj,
Śpij mój chłopcze, niezbudzony
W czasie piosnki méj.

Przyjdzie czas i tobie w drogę,
W życie, walkę, bój,
Śmiało włożysz w strzemię nogę,
Pałasz weźmiesz swój:
Ja siodełko ci bojowe
Wyszykuję, hej!
Do snu chłopcze ułóż głowę
W czasie piosnki méj.

Tam ma nieść wśród wrogów trwogę
Szabli twojéj stal,
Wyprowadzę cię na drogę,
A ty pomkniesz w dal;

Co wyleję łez w ukryciu
Smutnéj nocy téj!
Śpij aniele, śpij w powiciu,
W czasie piosnki méj.

Będę troską się dręczyła
Stracę zdrowie, moc,
Będę w dzień się wciąż modliła,
Wróżb szukała w noc,
Będę snić, że źleć zdaleka
Od ojczyzny swéj, —
Śpij, niewiedząc co cię czeka,
Śpij przy piosnce méj.

Ja ci, kiedy przyjdzie droga
Święty obraz dam.
Ty go modląc się do Boga
Staw przed sobą tam,
A przed bitwy złéj godziną
Myśl o matce twéj, —
Śpij mi piękny mój chłopczyno
W czasie piosnki méj.

Dary Tereku.

(Rytm oryginału).

Dziki Terek szumiał, skakał,
Wśród spadzistych gromad skał,
I jak burza groźna płakał,
Zdrój perlistych łez swych lał.
Zbiegłszy stepów tak przestworza
Do nadmorskich przybył stron,
I do Kaspijskiego morza
Z przymileniem szepcze on:

„Rozstąp się o starcze-morze,
Daj przytułek dla mych fal,
Już mi spocząć pora może,
Długom dość przebiegał dal.
Zaród mój gdzie szczyt Kazbeku,
Wykarmiła mnie pierś chmur,
Z władzą ludzką nie od wieku
Prowadziłem groźny spór,
By zabawić twoje państwo
Rozrywałem kręty brzeg,
I przywodzę ci w poddaństwo
Brzeżnych urwisk cały stek.“

Lecz na miękki brzeg skłoniony
Ogrom ścichł jak w chwilę snu;
Terek bijąc znów pokłony
Tak na ucho szepcze mu:

„Ja przyniosłem ci gościńca,
Gościńcowi bądźże rad,
Z pola bitwy Kabardyńca,
Kabardyniec dzielny, chwat;

W drogi pancerz on opięty,
Kindżał mu u pasa tkwi,
I z koranu ustęp święty
W złotych głoskach na nim lśni.
Z wąsa jego i z jagody,
Z nachmurzonéj jego brwi,
Obmywają moje wody
Purpurowy strumień krwi.
Wzrok otwartych ócz surowy
Pełen dzikiéj zemsty chmur,
I za stadem bujnéj głowy
Płynie czarnych włosów sznur."

Wciąż na miękki brzeg skłoniony
Starzec swych dośniewa snów;
Terek gniewny i wzburzony
Do ogromu tak rzekł znów:

„Słuchaj starcze! dań bogata,
Każdy dar czczym przed nią był,
Lecz aż dotąd od ócz świata
Najtroskliwiéj jam ją krył.

Przybył z memi tu falami
Trup, kozaczki młodéj trup,
Z pobladłemi jagodami
Jasnoblond włos ma do stóp.
W smutny wyraz przyodziany
Wzrok jéj mglawy, ona śpi...
Na pierś spływa z małéj rany
Jasny strumień ciepłéj krwi.
Po téj pięknéj, po dziewicy,
Co z mą falą płynie w dal,
Tylko jeden w swéj stannicy
Młody kozak czuje żal;
I osiodłał on wronego
I wśród gór na nocny bój,
Pod czeczeńcza kindżał złego
Poszedł ból utulić swój."

Terek szeptał cichszym głosem;
Wśród fal biała jako śnieg
Głowa z rozwiniętym włosem
Nad Kaspijski płynie brzeg.

Starzec-ogrom w blasku chwały
Jak potężna burza wstał,
Ciemne oczy mu pałały,
Żar namiętny z ócz mu tlał;
Zagrał on w weselu, w chwale,
I w wilgotnych głębin tkań
Popłynęły z dania fale, —
On miłośnie przyjął dań.

Żagiel.

Po mglistéj głębi mórz powiewa,
Mknie, żagiel wichrem uskrzydlony:
Co w dali znaleźć się spodziewa?
Co rzuca wśród ojczystéj strony?
Wiatr świszcze i szaleją fale,
Maszt gnie się, skrzypi, grom uderza...
Och! on nie szuka szczęścia wcale
I nie od szczęścia ujść zamierza.

I pod nim głębia w barw lazurze
I nad nim słońca nic nie chmurzy,
A on wyzywa dumnie burze,
Jak by miał spokój znaleźć w burzy!

Anioł.

Po niebie północy stróż anioł przelata
I śpiewa uroczą pieśń chwały,
By księżyc i gwiazdy świecące dla świata
Téj pieśni nieb świętéj słuchały.

Opiewał nagrodę dla duchów bez zmazy
Jak wielka, jak święta, jak błoga,
A były téj pieśni niebiańskiej wyrazy
Hymnami uczczenia dla Boga.

On z nieba, co rajską jaśnieje pogodą,
Na ziemię, co płaczu jest niwą,
Niósł duszę; — myśl pieśni w tę duszę wlał młodą,—
Została, bezsłowną lecz żywą.

I dusza na ziemi, wspomniawszy dźwięk śnio-
Goniła za śpiewy rajskiemi, (ny,
Znalazła — nie owe marzone w snach tony,
Lecz nudne piosenki téj ziemi.

Rycerz w więzieniu.

(Rytm oryginału).

Siedzę milczący pod oknem więzienia,
Jasne niebiosa dokoła mnie widzę,
Ptaki wzlatują pod niebios sklepienia,
Widząc je, ciężkiéj niewoli się wstydzę.

Usta już moje nie głoszą modlitwy,
Spiewać o lubéj ochota nie bierze,
Tylko pamiętam wrażenia chwil bitwy,
Ciężkie te miecze i twarde pancerze.

W pancerz kamienny niewola mnie skuła,
Głowę ścisnęła w kamienną przyłbicę,
Tarcz ma na strzały i miecze nieczuła,
Koń mój mknie szybko, lecz wolne ma lice.

Czas szybkolotny mój koń niedognany,
Hełmu przyłbicą jest krata strzelnicy,
Moim pancerzem — wysokie te ściany,
Tarczą — żelazne drzwi ciasnéj ciemnicy.

Czasie pędź prędzéj! bo siły już nie ma,
Duszno mi, — nowa broń pali i parzy, —
Śmierć gdy przyjedziem strzemienia potrzyma,
Zsiądę i zerwę przyłbicę z méj twarzy.

Prorok.

Od chwil, kiedy wyrok Opatrzności
Moc mi nadał wszechwiedzy proroczéj
Jasno czytam patrząc ludziom w oczy
Karty błędu i złych namiętności.

I zacząłem głosić miłość świętą,
Rozlewałem prawd na ziemię zdroje,
Ale rady i nauki moje
Tylko gradem kamieni przyjęto.

Więcem głowę przysypał popiołem,
Z miast uciekłem ubogi, z ochotą,
I wśród pustyń nieskończonych, oto
Jak ptak karmią bożą żyć zacząłem.

Pełniąc wolę Ojca Przedwiecznego
Tam posłuszne mi stworzenia ziemi,
Gwiazdy jasne z hołdy promiennemi
Uśmiechnięte do stóp moich biegą.

A gdy przejdę kiedy szumnym grodem,
Gdy przez tłumy noga moja śpieszy,
Słyszę nieraz jak wśród gwarnéj rzeszy
Starzec mówi przed dziecięciem młodem:

„Patrz on przykład stawia nam przed oczy,
Bo był dumny, wyszedł z równych grona,
Głupi, myślał, że tłumy przekona,
Że Bóg dał mu dar wiedzy proroczéj.

„Patrzże dziecię na niego jak bardzo
Smutny, nędzny, jak postać ma biedną,
Patrz jak nagi, jak mu lica bledną,
Patrz jak wszyscy dokoła nim gardzą!...“

Do Kazbeku.

Daleko śpiesząc ku północy
Z wiosennéj, ale obcéj strony,
Kazbeku! stróżu wschodu mocy
Wędrowiec tobie szle pokłony.

Od wieków dawnych w zawój biały
Wierzch twego czoła lśni owity,
I człowiek nie wdarł się zuchwały
Zamącić pokój na twe szczyty.

Lecz prośba i modlitwy słowo
Po stopniach skał twych niech dobiegą,
Aż tam w krainę zagwiazdową,
Aż do stóp tronu Przedwiecznego.

Ja proszę niech mi dzionek chłodny
Orzeźwi długą, znojną drogę,
W pustyni dzikiéj, skwarnéj, głodnéj,
Niech spocząć na kamieniu mogę.

Ja proszę, by mnie groźna burza,
Gdy będzie gromów hukiem grzmiała,
Wśród skał skąd Darjal się wynurza
Z zmęczonym koniem nie zastała.

Lecz prośby jeszcze słuchaj jednéj:
Drżę... nie chcę mową razić rany...
Jeżelim... ja... męczennik biedny...
W ojczyznie mojéj... zapomniany!...

Jeżeli mnie, — lat zbiegło wiele...
Nie przyjmą, przebóg w swe objęcia
Najmilsi bracia, przyjaciele,
Z któremim spędził wiek dziecięcia,—

I tylko piasek z wzgórz mogilnych
Zdrożoną mam nastąpić nogą
Na grobach ludzi zacnych, silnych,
Co ze mną młodość wiedli drogą,—

Gdy tak!... o! wtedy... twe zamiecie
Niech mnie zasypią, a na stypie
Niech mi grzmi burza, i po świecie
Niech wicher prochy me rozsypie.

Kindżał.

Ja lubię ciebie stalowy kindżale
Jasne i zimne wciąż oblicze twoje,
Smutny cię gruzin kuł w zemsty zapale,
A czerkies wolny troczył cię na boje.

Mnie cię podała dłoń liljowa, droga,
Na znak pamięci w chwili oddalenia,
I nie splamiła cię pierwsza krew wroga,
Ale łza jasna, łza— perła cierpienia.

I czarne oczy badając, czy w dali
Miłości mojéj potrafię być stały,
Jako przed ogniem powierzchnia twéj stali
Obumierały nagle i pałały.

Za towarzysza, miłości wspomnienie,
Mnie wędrowcowi danyś nie bez celu,
Tak będę silnym, tak się nie odmienię,
Jak ty żelazny, silny przyjacielu.

Wtedy.

Kiedy faluje niwa żółciejąca
I miły lasek szumieć rozpoczyna,
Kiedy w ogródku chowa się malina
W roskosznym cieniu liści od gorąca;

Gdy w krople rosy ubrana perłowe,
W pogodny wieczór, w ranku złotą chwilę,
Srebrna konwalja spojrzy ku mnie mile
I witająco skłoni cudną głowę;—

I kiedy strumyk, krążąc po parowie
Myśl w sny pogrąża słodkie a przyjemne,
I myślę że mi powieści tajemne
O cichéj swojéj ojczyznie opowie...

O! wtedy w duszy mojéj gaśnie trwoga,
I wtedy nikną zmarszczki na mem czole,
I wierzę w szczęście na ziemskim padole,
I na niebiosach widzę Boga.

Życzenie.

Smutny wychodzę w pustyni step szeroki,
Oto rozdroże krzemienistych dróg,
Noc cicha, szepczą do jasnych gwiazd obłoki,
Pustynia słucha co jéj mówi Bóg.

Świecą niebiosa tak uroczyście, cudno,
A ziemia śpi złożona ciężkim snem;
Czemuż mi smutno? i żyć i płakać trudno?
Czy pragnę czego, rozżalony czem?

Och! ja nie pragnę już zwycięztw w życia boju,
O przeszłość téż nie mogę, nie chcę stać,
Pragnę swobody, a obok niéj spokoju,
Zapomnieć siebie chciałbym, zasnąć, spać.

Lecz nie tym zimnym, śmiertelnym snem mogiły
Na wieki usnąć, spać wieki bym chciał,
Lecz by w méj piersi żywotne drżały siły,
By mym oddechem wieczorny wietrzyk drżał,

I by mi słodki, i w dzień i w noc natchniony,
Miłosną pieśń dziewiczy śpiewał głos,
I by nademną, wiosennie wciąż zielony,
Cienisty dąb z szumiącym liściem rosł.

Spis Rzeczy.